

Z chomika Valinor

**Stefan Wiechecki (Wiech)**

# **Rodzina Mortusiaków**



## **ANGIELSKIE ŚNIADANIE**

—No i jak, panie W., idziesz pan dzisiaj ze mną na buldoków? — zapytał pan Teoś Piecyk, odwiedziwszy mnie rano w miłym londyńskim polsko-szkockim hotelu na Cromwell Road.

—Jak to na buldogów? — zapytałem zaintrygowany.

—No, nie wiesz pan? Na psie wyścigi. Ja wczorej byłem i dzisiaj idę znowuż. Szwagier mnie namówił. Na razie, uważasz pan, nie chciałem o tem słuchać. Uważałem, że to niepoważne, żeby Azorki i Rozetki arabów dwulatków odstawiali i żeby można bileta wyścigowe na nich sprzedawać. To było dobre na strażackiej zabawie w Miłośnie przed tamtą wojną. Sam brałem udział w takim wyścigu ze swoim Bukietem. Właścicielowie psów stali na jednym końcu łąki, każdy z kiełbasą albo cukierkiem w ręku, zależnie, ma się rozumieć, co którego pies lubiał, a na drugim żony trzymali na smyczach tych wyścigowców. Na dane hasło paniusieczki puszczały swoich wychowanków, a ich mężowie darli się jak opętane: „Reks! Reks!... Aza!... Aza!... Facet!... Bimbuś!... do pana! do pana!...”

Pieski zapychali przed siebie jak maszyny, którego pierwszy przyleciał, niemożliwego zaszczytu swojemu panu dostarczał, a sam otrzymywał kawałek kiełbasy. I

na tern koniec.

Mój Bukiet miał największą szybkość, ale po drodze zakochał się w jakiejś foksterierce i odpadł z nią w połowie toru. Jeszcze właścicielka tej suczki do mnie pretensję wniosła, że też muszę być charoszy numer, jeżeli swojego psa w ten deseń wychowałem.

Myślałem, że i tu się odbywa coś w podobieństwie do tego. Ale gdzie tam, leguralne, panie szanowny, wyścigi jak na Służewcu. Z kasami, bombą gajt, star terem, komisją sędziowską, nawet bokmacherzy są.

Warto to zobaczyć, jak pragnę zdrowia. Toteż uwi jaj sie pan ze śniadaniem, bo początek o trzeciej, a jeszcze mamy przed sobą dużo zwiedzania. No co, owsiankie żeś pan odstawił, mleczko także samo nie naruszone! — Te ostatnie słowa dotyczyły płatków owsianych i zimnego mleka, stanowiących obok ja kiejś morskiej ryby na gorąco, pomarańczowego dżemu, grzanek, masła i herbaty obfite angielskie śniadanie.

— Ja również także samo tego do ust nie biere. Przecież jakbym się najadł owsa i zimnem mlekiem po rybie popił — skręt kiszek murowany. To podob nieź bardzo zdrowe i posilne, jak się ma odpowiednio wytresowane żołądki, ale to nie na warszawskie organizmy. A Anglik wszystko mlekiem zapija, bekon nie bekon, bepszyk nie bepszyk. Lepiej panu powiem, wczoraj wieczór, jakżem wracał do domu, stanąłem przy nocnem parówkarzu, taki kiosek ma tu niedaleko na ulicy. Owszem, elegancko nawet urządzony, z zimnemi i gorącemi zakąskami. Nałożył mnie na dekturkie dwie parówki z pomidorowem sosem. Nie powiem, apetycznie to nawet wyglądało, ale czegoś mnie tu było brak. No to prztykłem się dwoma palca mi w kołnierzyk, żeby nalał jeden głębszy. A on mnie, uważasz pan, napompował w taki kieliszek od ser wetek z pół litra mleka i stawia przede mną. Spoj rzałem się na niego jak na wariata, bo żem myślał, że balona ze mnie struże. Chciałem go nawet fest

objechać, że żarty sobie stroi z zagranicznego, jakby nie było, turysty. Ale raz że nie wiedziałem, jak jest po angielsku łąchmyta, a po drugie patrzę, że Angli cy piją spokojnie to mleczko, a także samo kawę z kożuszkim oraz kakalko i zagryzają to chlebkiem z sardynką albo piklami. Toteż nic żem nie mówił, tylko sobie pomyślałem: „No nie, wy sputnika nie wy strzelicie, szkoda mrugać”. Naród niemożebnie roz miłowany w jajezarsko-mleczarskiem artykule. Przy szło mnie nawet do głowy, żebyśmy się mogli z niemi pomieniać.

Oni by nam dali troszkie samoobsługowych restau racji tego Lyonsa, których mają do cholery i trochę na każdym rogu, a my byśmy jem za to przysłali pa rę barów mlecznych, rzecz jasna, razem z obsługą.

Pan byś za tem także samo głosował, panie W., bo widzę, że mleczka na klęczkach znowu się nie uwiel bia.

Usiłowałem tłumaczyć panu Teosiowi, że przeciw nie, bardzo lubię mleko, że bardzo mi odpowiadają owsiane płatki, tylko dziś jestem jakoś bez apetytu, ale w tej chwili stało się nieszczęście: wstając od stołu przewróciłem teczkę, z której wysypało się chyba z kilo owych płatków. Wtenczas przyznałem się panu Piecykowi, że rzeczywiście, nie zachwycam się płatka mi z zimnym mlekiem i po prostu nie daję rady ich zjadać, a nie chcąc robić przykrości przemiłym gospodarzom hotelu, od kilku dni zsypuję owsiankę do swojej teczki, żeby sposobną porą wynieść ją z hotelu i podrzucie w jakimś odpowiednim miejscu. Mleko jednak przeważnie wypijam, choć mogło się zda rzyć raz czy dwa, że wylałem je do umywalni.

— Tak pan mów, to ja rozumiem. Pomogię panu dzisiaj oblecić się z tymi płatkami. Syp pan mnie do kieszeni. Na wyścigi zabierzem ze sobą i będziem gryźć zamiast pestek, bo to nawet smaczne, cholera, ładnie przypieczone, tylko nie przed śniadaniem, nie z mleczkiem

Wypchani płatkami wyszliśmy na palcach z hotelu,

żeby nasze kieszenie nie zwróciły uwagi właściciela, który nieraz wykazał mi swą radość, że tak mi sma kuja jego angielskie śniadania. Zresztą, naprawdę doskonałe.

### ZASUWAJ, NEPTEK, ZASUWAJ!

—No i co pan na te drakie, panie W.? Chasena, jak pragnę zdrowia, co? Zobaczysz pan, co się będzie działo, jak te szczekające wyścigowcy ruszą ze startu — rzekł klepiąc mnie po kolanie pan Teoś Piecyk, kiedyśmy zasiedli na trybunie Stamford Bridge Stadium — jednego z licznych londyńskich psich torów wyścigowych.

—A teraz przyjrzyj się pan „koniom” — właśnie ich wyprowadzają. Któren się panu najwięcej spodoba, tego pan obstaw. Tu nie ma mądrego. Trzeba grać w ciemno, czyli na wyczucie, tak jak w Totolotka. A w ogóle skonać można ze śmiechu, Jak się na to patrzy. Widzisz pan tych „stajennych” w białych doktorskich fartuchach i czarnych sztywniakach? Patrz pan, jak honorowo prowadzą na smyczach tych swoich wychowańców. A ten ostatni w gienieralskim mundurze ze śmietniczką i ręczną szczotką, to najważniejsza figura, żeby nie on, to psy by się na własnych tak zwanych eksperymentach ślizgali podczas wyścigu i gracze mogliby wnosić pretensje.

Istotnie, za całą wyścigową kawalkadą, posuwającą się gęsiego dokoła toru, kroczył funkcjonariusz w mundurze raczej admirałskim i zbierał co chwila na szufelkę to, co „zawodnicy” gęsto po sobie pozostawiali.

— Każdy jeden pies musi te swoją życiową potrzebę przed wyścigiem załatwić. To z nerw. Ale te dzisiejsze jakoś denerwują się na potęgę — objaśnił fachowo

wydarzenia na torze pan Piecyk.

Zajęliśmy się jednak wreszcie typowaniem. Ja wybrałem smukłą charcicę „Cleopatra's Needle II” stojącą pod nr 5. Pan Teoś potwierdził wybór i pobiegł do kasy, jako oblatany z miejscowymi urządzeniami stały bywalec, bo był na tych wyścigach już po raz drugi. Ja zostałem na miejscu, obserwując z zainteresowaniem przygotowania do biegu.

Zwróciły moją uwagę dziwne postacie dżentelmenów, stojących na drewnianych skrzynkach czy stołeczkach. Podbiegali do nich gracze, wręczali pieniądze, wykrzykując jakieś cyfry. Dżentelmeni pisali coś ; kredą na wiszących przed nimi tabliczkach. Zaintrygowany zapytałem o nich pana Piecyka, po jego powrocie z biletami.

—To są „boczkowscy”,

—Jak to, Boczkowscy? Polacy?

—Polacy nie Polacy, ale bardzo często rzeczywiście z Warszawy. A w ogóle nie nazywają się Boczkowscy, tylko za boczkowskich się zatrudniają. No, jednym słowem, forszę na boku przyjmują, znaczy się bokmacherzy.

—Jak to, to wolno tak jawnie uprawiać bokmacherstwo?

—Nie wolno, ale Anglicy lubieją, jak ich się do wiatru wystawia za pomocą adwokackiego kantu. Taki już naród. Ponieważ że w tutejszej konstytucji jest powiedziane, że na angielskiej ziemi nie wolno uprawiać „boków”, boczkowscy powłazili na stołki. Na ziemi nie stoją i w taki sposób nikt jem złamanego słowa nie może powiedzieć. Artykułu nie naruszają, a mimo tego handlują, i to jaki

Rzecz jasna, że u nasz taki numer by nie przeszedł. Bokmacherzy nie tylko do mamra by się do-

stali, ale jeszcze i stołki byliby stratne. Takie czarymary to nie na Warszawę! U nasz boczkowscy „w podziemiu” pracują, ale też obroty mają nienajgorsze, aż się Sejm podobnież musiał tern zająć, bo konkurencję totkowi robią.

W tej chwili rozległ się przeciągły dzwonek, bomba poszła na dół. Bokiem toru piekielnym galopem ruszył sztuczny zając z elektrycznym napędem. Kłapa klatki, w której na chwilę przed tym umieszczono psy, uniosła się. Start. Poszły!

Charty pędziły po wyłożonym słomą torze z szybkością kurierskiego pociągu, ale elektryczny zając był lepszy, zostawiał je ciągle daleko za sobą. Trybuny zawrzały, dopingując swoje typy, niczym na warszawskim Służewcu. Flegmatyczni Anglicy wrzeszczeli jak opętani, ale nad wszystkim górował tubalny

— Zasuwasz, Neptek, zasuwasz!... Jedyńska, jedynka!

Trąciłem pana Teosia w ramię.

—Dlaczego pan krzyczy „jedyńska”, przecież to „Neptune's Coctail”, a my gramy Kleopatrze, piątkę!

—W porządku, przerzuciłem się. Zięciakiewicz mnie namówił na Neptuna.

— Co za Zięciakiewicz?

— Nieważne, później panu powiem. O cholera!... Ażeby cie nagła krew...

Po jednym okrążeniu toru zając gdzieś wsiąkł, nawet nie zauważyłem, gdzie się podział. Psy nagle zwolniły, okazało się, że przebiegły metę. Wygrała Kleopatra. Neptek pana Piecyka był ostatni. W końcówce nawalił.

Pan Teoś z furją rzucił na ziemię kapelusz.

— Tu, w tem ręku miałem już wygrane fonciaki i cholera przyniesła tego Zięciakiewicza! Od wojny dwadzieścia lat go nie widziałem i tu pod kasą żem

go spotkał. W ostatniej chwili z takiego psa mnie

zrucił i na tego łacha przesadził! Dwanaście milionów

ludzi jest w tern Londynie, sto tysięcy podobnież samych Polaków, to ja właśnie na Zięciakiewicza musiałem się nadziać!

— To jakiś pański znajomy?

- — Tak, rodak z Targówka. Pare razy żem do niego pisał, namawiałem go, żeby wrócił do kraju, a on sie uparł, nie i nie. żeby mnie był posłuchał, nie spotkałbym go teraz w Londynie i nie zrucilby mnie z Kleopatry!

— Mogłoby być jeszcze gorzej, gdyby wrócił. Częściej spotykałibyście się panowie na Służewcu i częściej by pan przez niego przegrywał.

Pan Piecyk popatrzył na mnie chwilę i rzekł:

— A może i racja... Może to takie moje garbate szczęście. To nic, typujem dalej, może się odbijem głową o ścianę.

I rzeczywiście, mimo starannego unikania Zięciakiewicza, w następnych gonitwach również otrzymaliśmy przyzwoicie po kuchni.

Ja przegrałem dwanaście szylingów, pan Piecyk coś koło tego. Ale mimo tej klęski pan Teoś głośno marzył w autobusie, że warto by jednakowoż wprowadzić te psie wyścigi w Warszawie.

— Chociaż to by się chyba nie przyjęło. Chuligani kotów na tor by rzucali.., A i psy warszawskie za wypchanem królikiem nie chcieliby ganiać — za cwane. Nawet i te angielskie już się chyba pokapowali, że to lipa. Zwróciłeś pan uwagę — jak miną mete, z miejsca zwalniają i zająca mają w... mniejsza o to, gdzie. Latać latają, bo wiedzą, że tu o forszę się rozchodzi. Tak, tak, pies jest najlepszym przyjacielem człowieka. Ale tenże nie ma prawa się słuchać Zięciakiewicza.



## ŚWIĄTECZNY PUDDING

Spotkałem go na Earls Court Road, w samym sercu tak zwanego londyńskiego polskiego korytarza. Jest to taka dzielnica Londynu, gdzie usłyszenie polskiej mowy należy do rzeczy zupełnie zwyczajnych.

Nie to też mnie uderzyło, że zwrócił się do mnie po polsku, ale że zrobił to w formie specjalnie mi bliskiej, że w akcencie jego zabrzmiała miękka nuta warszawskiej wymowy. Nawet więcej powiem, wymowy dzielnicy przeze mnie wyróżnianej, a mianowicie Targówka.

Zaczął się od tego, że przez chwilę przyglądał mi się bacznie, a potem nagle wyciągnął obie ręce i zawołał:

—Niech ja skonam, niech ja skonam w dziecin-nem wieku, o wiele nie znam pana z Warszawy.

—To bardzo być może — odrzekłem ciepło. — Mieszkam w Warszawie od urodzenia.

—Ja także samo. Tylko nie mogię sobie detalicznie przypomnieć, gdzie pana szanownego stale widuje.

—Może...

—Zaraz, czekaj pan, już wiem. Budkie pan masz na Bazarze Różyckiego, w głównej alei koło Komisu... Trekstylija i dodatki krawieckie, Fijałkowski pańska godność. Pan pozwoli się zapoznać — Szparaga się nazywam. Taką okazję trzeba oblać, jest tu nie-daleko nieduży barek. Co prawda nie w naszym guś cie. Bimber i sodowa woda na zakąskie, ale mówi się: trudno. Jak warszawiak z warszawiakiem się spotka, muszą po jednym skutecznicić w najgorszych nawet waronkach.

Usiłowałem panu Szparadze wyjaśnić, że bierze mnie

za kogoś innego, że niestety chciałbym mieć budkę, ale nie mam. Nie słuchał mnie nawet i nazywając stale panem Fijałkowskim, ujął pod ramię i prowadził do baru.

— Ja tu, uważasz pan, familijnie przyjechałem do brata, któren w samochodowej branży pracuje i garaż na siebie posiada. Nie mogie narzekać, brat owszem, chłopak równy, ale bratowa Szkotka, oszczędnościowa do obrzydliwości, na krok go nie puszcza i nie mam przed kiem serca roztworzyć. Na święta mam sie u nich pozostać. A Boże Narodzenie w Londynie specjalnie uroczyście sie obchodzi. Widziałeś pan na Piccadilly te żywą drekoracje na tutejszem Cedecie? święty Mikołaj na karuzeli zasuwą, którą dwanaście karzełków popycha, wszystko ruchome i w naturalnych kolorach. Widziałeś pan na Oxford Street te balony na drutach, pareset sztuk naturalnej prawie wielkości? Każde z nich pareset fonciaków podobnież kosztuje — bogate miasto. A sklepy aż pękają od towaru. Drób, ryby, homary, mięso w stu gatunkach. Kupcy sie proszą o to, żeby kupować. A, patrz pan, u nasz, po głupie mandarynki ogonek trzy razy naobkoło Delikatesów zakrecony, szczupaki będą na Wielkanoc, karpia, drania, chcesz pan kupić, o czwartej rano musisz pan stanąć w kolejce, o wiele, ma sie rozumieć, dystrybucja nie nawali, żyć nie umierać w tem Londynie.

Pan Szparaga, stały widocznie bywalec tutejszy, zarządził dwie duże whisky and soda. Wypił i nagle posmutniał.

— Na wile bratowa szykuje specjalny świąteczny pudding — to jest, uważasz pan, mieszanka ryżu, łoju, rodzynek, mleka, cynamonu, mięty, a razem, uważasz

pan, kit, że tylko okna niem oprawiać. I indyk ma być na drugie. W wile, uważasz pan. Choinkie sztuczną wykompinowała z wkręcanych na gwint nylonowych gałązek. Cała srebrna. Wesolo ma być bardzo... A w Warszawie o szóstej wieczór sklepy zamykają. Ostatnie tramwaje zjeżdżają do remizy... W oknach prawdziwe choinki aż pachną z daleka.

— śnieg sypie — dodałem melancholijnie.

Pan Szparaga zerwał się ze stołka, szybko zapłacił i chwytając mnie kurczowo za rękę, zawołał:

— Panie Fijałkowski, ganiamy!... Po bileta do Warszawy... W ogonek po karpia i po choinkie.

\*

Wczoraj przed Cedetem w Alejach spotkałem pana Szparagę, biegł po błocie zdyszany.

—Gdzie pan tak pędzi?

—Choinki nie mogie dostać. Zaplanowane widocznie na Zielone świątki. Karp ma być na Trzech Króli. Ale podobnież w Jabłonnie pokazali sie sandacze. Może gdzieś po drodze w lesie „kupi sie" jakiś krzaczek.

—Wesołych świąt, panie Fijałkowski!

## SYLWESTER U TWARDOWSKIEGO

No, to stary rok, proszę ja kogo, jak to mówią: odjazd na żeberko! Nowy zasuwa na sputniku. Jaki będzie, trudno nam się chwilowo połączyć, ale w każdym razie już widać, że w komunikacji nastąpią poważne zmiany. Na księżyc będziemy podobnie jeździć na ksiuty i na wczasy z zapewnionym powrotem na ziemię. Wyobrażam sobie, jaki będzie ruch w tamtem kierunku, zwłaszcza przy obecnych cenach miejsc sypialnych do Zakopanego.

Jeszcze jedna podwyżka i absolutnie nie będzie karkulacji tłuc się dwanaście godzin do tak zwanej perły Tatr, kiedy w znacznie krótszym czasie będziemy mogli skoczyć na księżyc i podbawić się w tamtejszej „Kameralnej” czy w innym „Paradisie”. Bo tam będą tylko nocne lokale, z powodu braku słonecznego oświetlenia. Co będzie na takim na przykład Wenusie, może się tylko domyślać, ale to jeszcze nie w nadchodzącym roku. Najwcześniej za dwa lata. Jednym słowem, przyszłość się do nas uśmiecha, o wiele ma się rozumieć specjaliści od tak zwanej energii jajecznej nie wykoleją nam ze wszystkim całego ziemskiego globusa. Bo wtenczas ludzie na Marsie powiedzą na nasz widok: „O, gwiazdka spadła, będzie jutro pogoda” — ziewną i udadzą się na spoczynek. My też pójdziemy „spać”. Jednym słowem, może być klops, proszę uczonych, warto się nad tem zastanowić.

Jak tak czytam w gazetach, że także samo nasze profesory pracują na niwie atomowej i odnoszą duże sukcesy, przychodzi mnie do głowy zapytać się:

A czyby panowie szanowne nie mogli tak wykonać troszkie szklanek ze spodkami dla Cedetu? Bo bez rozdzuszania atomu mozem sie jakiś czas jeszcze obejść, a herbatę trzeba pić już, zaraz.

Ale to musi być trudniejsze i wątpię, czy przyszły rok przyniesie nam te spodki.

Jedno jest pocieszające, że podobnie nasze chuligani troszkie już przysiedli. Mniej się już daje słyszyć o poważniejszych rozróbkach i awanturach w kraju. Za

to z zagranicy dochodzą nasz wiadomości o dużych sukcesach naszych rodaków na tem polu. Otóż więc kilku naszych marynarzy ze statku „Pokój” wywołało duże zabradziazenie spokoju aż w Kalkucie. Co oni tam uskuteczni, detalicznie nie wiadomo, może stępiłi goździe na materacu jakiemu fakirowi, może wydoili świętą krowę albo tańczącego węża nauczyli poleczki z biglem w trzecią stronę. Jednem słowem, jakoś tam zaszurali i słusznie zostali ukarane.

Trzeba te rzeczy piętnować, bo w razie ustalenia się powietrznej komunikacji z księżycem mozem dostać w przyszłem roku wiadomość, że marynarze naszej floty nadpowietrznej podczas zabawy sylwestrowej w lokalu niejakiego Twardowskiego upiekli na różnie koguta stanowiącego od lat żywą lekrame interesu i zaleli w drobny mak Wielką Niedźwiedzicę.

Jaki byłby z tego szum na Jowiszu, Saturnie, Marsie i Drodze Mlecznej, nie da sie opisać.

## CHŁAP PAN DALEJ

—No i patrz pan, panie Kitwasiński, to już trzynaście lat, jakżeśmy się na tern rogu Marszałkowskiej i Alej spotkali.

—Warszawa była sfajczona przez hitlerowską nawalę, taka ją w te i nazad, do samego spodu.

—Jedna ruina... dziury w bruku takie, że nogi można było ze wszystkim połamać.

—I woda w tych dziurach była, bo odwilż jak raz się rzuciła niemożebna.

—Faktycznie, pamiętam, jakżeś pan nieostrożnie stąpnął, fontanna błota całą jesionkie żeś mnie pan obhaftował. Niedużo się należało i do towarzyskiego nieporozumienia o mały figiel między nami nie doszło.

—Ale zrozumiałeś pan koniec końców, że ja to niechcący zrobiłem, z powodu panujących ciemności. Że, jednym słowem, nie ja, tylko Hitler winien.

—I pogodziliśmy się. A wiesz pan, czym żeś mnie pan wtenczas najwięcej za serce ujął?

—No, czym?

—Żeś pan powiedział o Hitlerze: „Nie, jego robaczywa, w ząbek czesana głowa. Kobyłkie czy insze Piaseczno z Warszawy zrobić. Gdzie stolica była, tam stolica została!”

—Rzeczywiście żeś tak powiedział? No, to dobrze

powiedziałem, chociaż faktycznie, co to tam za stolica  
wtenczas była... Pare drewnianych budek z napisem

»Pyzy gorące" i „zupa pomidorowa!" Ciemno jak u Murzyna...

—Nie wyrażaj się pan o Warszawie, w trzynaste rocznice, dobrze?

—No, dobrze. Jednym słowem, boczna ulica w Suwałkach podczas zaćmienia księżyca, a nie śródmieście Warszawy.

—No i cóż? Nie wytrzymało trzynaście lat i cóż my widziem? śródmieście odbudowane...

—Tak jest, ale niektórych jednakowoż ulic nie można się doliczyć. Na przykład nie ma Wielkiej, Zielnej, Sosnowej, śliskiej...

—Bo Pałac Kultury na nich figuruje.

—Faktycznie, ja, uważasz pan. ze śliskiej rodem, spod dziewiątego, to jak raz na moim pokoju z kuchnią Sala Kongresowa się teraz znajduje.

—No, to pan chyba dostajesz bezpłatne bileta na „Zgaduj zgadule" i insze uroczystości narodowe, jako honorowy właściciel lokalu.

—żart żartem, śmiech śmiechem, ale w każdym bądź razie nie przespaliśmy tych trzynastu lat. Aż się dusza człowiekowi śmieje, jak się patrzy na taki, dajmy na to, Cedet. Jak to się świeci na niem ten niebieski neron w charakterze gzyzaka. Jakby się sam derektor Cedetu na swoim zakładzie pracy własnoręcznie podpisał. Trzeba mieć niemożliwą smykałkę, żeby coś takiego wykompinować i żeby to chciało tak gasnąć i zapalać się i znowuż gasnąć. To jest podobnież największy gzyzak na świecie. W Ameryce takiego nie mają...

—Uważaj pan, boś mnie pan nachlapał w nogawkie.

—Przepraszam, ale jak raz neron zgasł i ciemno się zrobiło... W ogóle coraz więcej tych najnowszych zdobyczy technicznych mamy w naszej stolicy." Jeszcze trochę, a Paryż u nas leży, Londyn...

— Uważaj pan, do cholery, znowuż żeś mnie pan



ochlapał.

\_ Bo tu dziura koło dziury.., i pełno błota, bo odwilż, jak wtenczas, jak trzynaście lat temu nazad. I budki takie same, tylko że nie pyzy, a już pączki w nich sprzedają. Ale nie przejmuj się pan, jeszcze trzynaście lat i tretuar w Alejach Jerozolimskich dogoni odbudowę Warszawy i chodzić się po niem będzie jak po stole. Nie wszystko od razu może być na piątkie.

— Jak tak, to chlap pan dalej, w tej" uroczystej chwili, dla uczczenia rocznicy! Niech stracę!

## BUTY DO SZAFY

Gienia trzyma z królową. Po całych dniach na tego Filipa ze Skublińską pyskują. Suchej nitki na facecie nie zostawiają. Wszystko jeszcze lepiej wiedzą aniżeli Express, że jako zbankretowany hrabia, na dwóch łapkach przed królową chodził, w oczy jej patrzył, zakochanego odstawił, a teraz, jak go obsprawiła, ubrała jak lalkie, żone z dziećmi zostawił, do ciepłych krajów wyjechał i udaje Greka. Z żoną nie ma życzenia się zobaczyć, bo podobnież z jakimś rudem kociakiem się spomknął.

Kubek w kubek przed wojną jeden muzykant na Nowem Bródnie *tak* zrobił. W elektryczne magle się wzenił. Rzecz jasna, że maglarka nie mogła mu kasy powierzyć, bo był tronkowy, a także samo pies na kobiety.

To tylko pozwoliła mu bieliznę z magla klientelji odnosić, żeby miał pare groszy na papierosy. Jak raz odniósł jednej kucharce od doktora wałek kolorów, już się tam w kuchni został. Ale maglarka za dużo w niego gotówki włożyła, żeby go tam zostawić. Wybrała się z pogrzebaczem zawiniętem w gazetę, przeliczyła zęby tej nowej bogini swojego męża, jemu też nieduże bańki postawiła i do domu. Tam mu buty do szafy zamkła i bez osobistego dozoru nie wypuszczała na ulice.

Wysłuchaliśmy ze szwagrem tej gadki i ja zaznaczam:

- Gieniuchna, co ty za mowę nam tu sztukujesz? Co ty byś chciała, żeby królowa Filipowi buty ściągała i ze wszystkim nie wypuszczała go z pałacu?

—Rzecz jasna, że bywszy na jej miejscu, tak bym zrobiła. Przede wszystkim buty. W bamboszach za tronem u mnie by siedział, podczas kiedy ja bym rządziła i z ministrami się użerała. Potem jazda do pokoju sypialnego małżeńskiego kodeksu pilnować.

—Właśnie, Gieniuchna, źle byś zrobiła. W męski honor byś go sztukła. Mężczyzna chce odgrywać rolę, wszystko jedno czy to w maglu, czy w królewskim interesie. Nie może być za parasola, któren koronę za królową nosi i czerwone pereline na białych królikach oraz berłem muchy od niej odgania. Męskie alibi mu na to nie pozwala. W przeciwnem bądź razie urywa się do kucharki albo do Gibraltaru nawiewa za rudem kociakiem.

Gienia aż w ręce klasła i mówi:

— Jak to jeden łajdak, chłop, drugiego zrozumie i wytłomaczy. Tobie też się rządzić zachciało? Tylko patrzeć, jak sobie jakiegoś rudzielca znajdziesz. Ale ja się tu zaraz z wami obydwoma oblecę. Już siadam i pisze list do królowej, żeby od starszej mężatki się dowiedziała, jak ma tego swojego ancymonka krótko przy twarzy trzymać. Na początek buty do szafy!

## **GRYMASY Z PAPIEREM**

Ludziom to, jak pragnę szczęścia, nigdy dogodzić nie można. Zachciało jem się na przykład pakowania chleba w papier. Słyszane to rzeczy. Zapomnieli ciapciaki, jak jeszcze niedawno kiełbasę, boczek, pasztetówki czy inszą węglinę dostawało się sote, czyli do rączki, bez żadnego opakowania.

Sam pamiętam, jakżem raz kupił pół kila salcesonu z ozorkiem w plasterkach i dostałem do tego kawałek papieru wielkości biletu tramwajowego. Nie wiadomo było, jak to nieść. Do kieszeni schować nio można, bo potem garnitur w chemicznej pralni zamienia człowiekowi na zielony sweterek albo apaszkie. Totyż trzymałem salceson przez papier w dwóch palcach. Nawet wygodnie się szło, tylko że co i raz plasterek cholera brała i zaczęm żem do domu się dotaskał, został mnie się tylko jeden. Ale za to psów odprowadzało mnie z dziesięciu.

Teraz tego nie ma, do głupiej kaszanki dostajem fest kawał papieru, nie mówiąc już o takiej szynce w Delikatesach, gdzie nam w elegancką torbę z monogramem ją pakują, czasem ze dwie ołowiane blomby w prezencie dorzucają jako niespodziankie.

Ale jeszcze się taki nie urodził, żeby wszystkim dogodził. Raban teraz niemożebny podnieśli z tem pakowaniem chleba i rogalików.

Komisja nawet po uspołeczniionych sklepach cho

dziła i zestawiała pretokóły za wydawanie towaru bez opakowania. W jakim to faktycznie celu, tego nie rozumiem. Rzecz wiadoma, że w Ludowej Polsce wszystko jest państwowe, ogólne, nasze znaczy się. Więc o wiele my ściągamy mandat karny z państwowego sklepu z pieczywem i przekazuję go do państwowej kasy, to jest tak, jakbyśmy, kochane towarzysze, przekładali te forsy z jednej kieszeni do drugiej. Czyż jednak nie? Czyli że ręka boli i czasu szkoda. Zwłaszcza że to nic nie pomaga, a w każdym bądź razie niedużo. Byłem właśnie obecnym w sklepie piekarskim u nas na Szmulkach, jak przywieźli nowy przedział papieru do pakowania, zgodnie z najnowszym okólnikiem w tak zwanych ramach walki z higieną, zapas na cały miesiąc z góry. Owszem, nie można powiedzieć, papier ładny, glansowany, tylko że niedużo, najwyżej starczy go na pół godziny.

Personel nie wiedział, co z tem robić, ale na szczęście była instrukcja, żeby zawijać pieczywo co dziesiątemu klientowi w charakterze premii i na wypadek podejrzenia, że może być z komisji.

Są takie niewyraźne mordy, że z daleka się ich odróżnia. A w ogóle te higienę trzeba przeczekać.

### **STARA PODSZEWKA**

—No co, panie Koralikowski, jak się panu spodoba nasza Warszawa?

—Czyja Warszawa?

—No... nasza...

—Może i pańska, bo moja to nie, panie Gałązka.

—W jaki sposób?

—A w taki, że ani warszawiaków w niej nie ma, ani ulic dawniejszych, wszystko nowe.

—Jak to, nie ma warszawiaków, przecież milion dwieście tysięcy po ulicach ich gania jak kot z pęcherzem.

—Uważasz pan, to są różne warszawiacy. Leguralne i

takie, o których u nasz na Wroniej się mówi „warszawiak, co po metrykie cały dzień koleją jedzie i trzy dni wołami”.

— Czyli że tak ma daleko do miejsca urodzenia?

—Jednem słowem, chomąciak z samego środka wsi, a stołecznego mieszkańca odstawia.

—żeby tylko nie śmiecili i nie wyrażali się w tramwaju, co mnie za różnica, skąd się kto sprowadził i jak dawno mieszka.

— A dla mnie jest różnica poważna.

Czy powyższy dialog stanowi całkowitą fikcję? Upieram się, że jest prawdziwy! Albowiem protekcjonalny, a nawet lekko wzgardliwy ton w stosunku do „prowincji” stanowi i stanowił zawsze jedną z cech charakterystycznych obywateli naszej stolicy. zamieszkałych nawet niekoniecznie w śródmieściu.

Z niego to wzięło swój rodowód słynne już dziś powiedzonko: „bajer na Grójec”, oznaczające, że tylko mieszkańca jakiegoś małego miasta można wziąć na lep frazesu, nabrać na kawał i w ogóle wykantować. Obywatel stolicy wzruszy na takie próby ramionami i nie da się „zrobić”.

Barwne to określenie zrodziło się stąd, że rolnicy podgrójeccy stanowili zawsze główny kontyngent dostawców jarzyn na Zieleniak przy ulicy Grójeckiej. Tam to stykali się z warszawskimi „farmazonami” którym niejednokrotnie udawało się nabierać ich „na bombę” w postaci zegarka bez werku lub sztuki materiału z ukrytą w środku ufarbowaną tekturą.

„Bajer na Grójec” został przeze mnie spopularyzowany w druku i stąd lekka animozja mieszkańców tego sympatycznego grodu do mojej osoby. Pretensje i żal zgłaszają często obywatele Grójca nawet w listach do mnie:

„Czego się pan tak przyczepił do tego Grójca? Niech pan przyjedzie do nas i zobaczy, że to wcale znów nie

takie podłe miasto" — piszą.

Ależ, mili grójczanie, sąsiedzi drodzy, nigdy nie powstałoby mi w głowie dworować z waszego historycznego miasta, na pewno nie gorszego od innych stolic naszych powiatów.

Skarz mnie Bóg, jeśli chciałem was spostponować — winna tu jakaś stara waśń między waszymi badylarzami a warszawskimi cwaniakami.

Zresztą sławę waszego miasta roznieśli po całej Polsce dawni warszawiacy, obecni emigranci na ziemiach zachodnich z północnych.

Kiedyś w Sopocie stary kelner warszawski, zapytany przeze mnie na werandzie Grand Hotelu, jak mu się podoba ta perła uzdrowisk polskiego Bałtyku, wzruszył lekko ramionami i rzekł:

— Grójec z widokiem na morze!

Była zresztą w tym powiedzeniu nuta pewnego sentymentu pod adresem i na korzyść waszego właśnie miasta.

Jak by to zresztą nie było, powtarzam raz jeszcze, że broń Boże „bajeru” nie wymyśliłem, podałem go tylko do druku, bo to należy do moich obowiązków zawodowych albo inaczej szczytnego

Oczyściwszy się więc przy okazji z niesłusznego a bolesnego zarzutu, powracam do rozmowy pana Koralikowskiego z panem Gałązką.

— Co pod względem tych ulic, to także samo nie masz pan, panie Koralikowski, dania racji tak bluźnić. Faktycznie, Warszawa troszkie nie tak **jest** odremontowana, jak być powinna. Ja, na przykład, mam pretensje, że ulica śliska, skąd jestem rodem, nie egzystuje. Ale co mam zrobić, służy mnie apelacja do składu węgla albo do ślepej kiszki, jak to się mówi. Hitler winien.

Że troszkie za szerokie jezdnie mamy, a po bokach pustynia? że Marszałkowska już nie ulica, a Marszałkowska szosa — mówi się trudno i się czeka. Zabudują te prawe stronę i znowuż fasonu nabierze.

—żebym panu, panie Gałązka, tak oczy zawiązał, wsadził w taksówkę i wypuścił gdzieś w tak zwanem sercu miasta, zdjął chustki i zapytał się: „Powiedz mi pan, gdzie pan się znajdujesz” — zgadłbyś pan?

—To zależy, jak gdzie i nie od razu, Ale przeszedłbym pare kroków i już bym się połapał. Na przy?

kład któregoś dnia, uważasz pan, wysiadłem z tramwaju na tej nowej alei N—S czy jak ją tam. Stoję, patrzę się, kominuje i faktycznie nie wiem, gdzie jestem, ja, stary warszawiak z dziada pradziada. Ale



uszłem pare kroków i aż mnie zatkało. Przed drugą Halą Mirowską stoje! Znaczy się Solna, znaczy się plac Mirowski. Przymknąć tylko oczy i już się słyszy: „Do cytryn, do cytryn! Takie katańskie malinowe, takie malinowe! Brać i wybrać!” Widzi człowiek ten cały plac zapchany pomarańczami... Kuchty i panusie z koszami do hali zasuwiają po żywe karpie, po drób, po zrazową na pieczeń...

—Tak, tak, po pijanemu różne rzeczy się troja,,.

—Na czczo duszy byłem, tylko, uważasz pan, młode lata mnie się przypomnieli i wszystko jak żywe stanęło mnie przed oczami.

—Powinieneś się pan był za poetę zgodzić, książki drukować.

—Kto wie, czybym nie zrobił forsy w tem fachu, tylko że z pierwszego oddziału gorodzkiej szkoły na Pańskiej mnie stary odebrał. Trzeba było mu pomóc na życie zarabiać. Ale w literackiej branży się robiło — kuriera po tramwajach sprzedawałem. „Kryyyyjerr Poraa...!” trzeba było umieć to krzyczeć i z tramwaju z fasonem wyskoczyć, wiatraka na pięcie zrobić, żeby było widać, że fachowy kurierarz pracuje, nie jakaś lebiega niewidymka. Pokaż mnie pan teraz takich „redaktorów"! Młodzież się marnuje.

—Prasa za tania i za mało. Po co po tramwajach z nią skikać, kiedy się klienci same w ogonek ustawiają? Ale już jest lepiej, już zwroty widać. Jak tak dalej pójdzie, zaczną się normalne czasy i pokażą się znów gazeciarze.

—No, dobrze, panie Gałązka, Hala faktycznie stoi i możesz pan po niej Solną ulicę poznać. Ale dużo masz pan takich miejsc?

**Wiadomo, że dużo. Jadziem tramwajem, dajmy na to, ulicą Świerczewskiego. Ulica nieznana, domy nowe, troszkie na kazarmy wyglądające. Zaczynamy się zastanawiać, w jakim my faktycznie mieście się znajdujemy, i od razu patrzemy, co to za bania na środku ulicy stoi.**

Przecież to „Gruba Kaśka”, stundnia dorożkarska, czyż jednak nie? I od razu już wiemy, że przebywamy na Tłomackim vis-  
vis

synagogi. Po lewo mamy Nalewki i Krasieński ogród, na prawo plac Bankowy. Nalewki nieobecne, ale z placu Bankowego sporo się zostało. I tak jest po trochu, ale

prawie wszędzie. Gdzie byś się pan nie ruszył — stara podszewka wychodzi spod nowej warszawskiej okryjbydy.

— No dobrze, a pokaż mnie pan w tej nowej Warszawie takie narodowe pamiątki, jak na przykład Kiercelak.

— Owszem, jest i Kiercelak.

— Gdzie?

— Gdzie go nie ma? Zajrzyj pan do pierwszego lepszego podwórka na Chmielnej albo w takich Jerolimskich Alejach. Budy, budki, wszędzie pełno szyldów: „Ubiory męskie, damskie i dziecinne”, „Futra na pelisach”, „Pantofle ranne” i temuż podobnie, brakuje jeszcze pare napisów: „Pyzy gorące”, „Flaki z pulpetamy” i będziesz pan miał nastajaszczy Kiercelak.

— Dobrze się panu podśmiewać, ale ja całe życie spędziłem w tamtych stronach, handel hurtowy psamy na Kiercelaku właśnie prowadziłem, to serce mnie się kraje, jak się patrzę na te puszcze Saharę, jaka się tam teraz zrobiła. To samo masz pan na Starówce. Tam było wesoło — od rana szewcy tak młotkiem zaiwanieli, że aż się dymiło. Kataryniarz przyszedł, magicy z dywanikiem albo orkiestra dęto-rzędzieta. Stanęli na podwórku i „różnij Walenty — Bóg się rodzi”. A jakie sprzeczki, jakie nieporozumienia przez okno między sąsiadkami bywali! Z przyjemnością godzinami można było słuchać. Nie ma już tamtych rozrywek, nie ma tamtych lokatorów.

Same, uważasz pan, doktorzy, artyści mieszkają na Starówce. Dzika sie jakaś dzielnica zrobiła.

—Faktycznie, co do Starówki nie powiem, przyciszyła sie troszkie, ale w powszedni dzień i w zimie. Bo w lato, a zwłaszcza w niedzielę, od piątej rano nikt już oka nie zmruży — wycieczki mu nie pozwolą. Co sie dotyczy sprzeczek, to też znowuż nie jest tak ostatnio, jak pan mówisz. Jak sie któregoś dnia dwie doktorowe zaczęli przez okna sztorcować, było co posłuchać. I małpa zielona była, i wydra Sobieskiego, i ruda peja, i niewiniątko króla Heroda, i sykomora, szantrapa na gęsich nogach, i owieczka za wieczną ondulacje szarpana. Z powojennych nowości słyszałem tylko stonkie ziemniaczane i sierotę po Berii.

Tak że nie martwij sie pan, panie Koralikowski, Starówka, chociaż wyglansowana i odrobiona w złoty groszek, warszawskie podszewkie pokazać potrafi.

### **MUCHA WYGRAŁA**

Zacząło sie od tego, że w celu podniesienia osobistej stopy życiowej ja i czterech koleżków postanowiliśmy wygrać w Totolotek dwa miliony, no, niech już będzie milion. W tem celu kupiło sie za pięćdziesiąt groszy ten kupon uniwersalny, kałamarz atramentu i butelkie wódki. Obsadkie przyniósł z domu Mondzio Koralikowski.

Poszliśmy na ulice Kacze do znajomej bramy, gdzie można spokojnie popracować, bo dom mało zamieszkalny i w bramie ruchu nie ma. Tam wykonaliśmy pół literka „pod listę lokatorów” i dawaj typować zwycięzców na niedzielę. Ale jeszcze najsampierw, ponieważ pierwszy raz graliśmy, Wicus Szparaga zaznacza do mnie:

— Przeczytaj, Gieniuś, leguramin, bo jesteśmy nieoświadomione żłoby na szczot sportowego totka.

To ja czytam:

— „Na jednym kuponie można wypełnić od 1—5

wariantów rozwiązań..."

I w tem trakcie Mietek Gibasiewicz sie wtajemnicza i mówi:

—Dlaczego pięciu wariatów?

—No, bo jest nasz pięciu i mozem na jednym kuponie to wszystko napisać. A „wariatów” jest dlatego, że tylko wariat może grać w Totolotka — zaczynam sie podśmiewać, bo nie wiedziałem jeszcze, że to

okaże sie prawdą i faktycznie wariatów państwa derekeja totalizatora z nasz wystruże.

— Nie przeszkadzaj, Mięciu, w pracy — mówi na to Szparaga, a ty, Gieniusz, typuj.

No to typuje:

—Rzut młotem, 13.

—Coś ty sie z choinki urwał?! To pechowy numer! — krzyczy Koralikowski. — Trzynastka musi przegrać.

— Jaki tam pechowy, fartowny — ja znowuż mowie.

— Trzynastka przegra! — kłóci sie Koralikowski.

—Wygra! — krzyknął Gibasiewicz i w tem trakcie połknął muchę. Zakrztusił sie, aż mu nazad wyfrunęła i wpadła w kałamarz. A z kałamarza, umazana w atramencie, wskoczyła nam na kupon i zaczyna po niem spacerować.,

—Rany gorzkie, kupon cholera wzięła! Co my teraz zrobim? Nie wygramy tych patyków.

Ale patrzem na muchę i cóż my widziem — krzyżyk atramentem namalowała na trzynastce.

—Mucha mówi, że trzynastka.

—Coś ty, wariat? Mucha zna sie na Totolotku?

—A ty sie znasz? Nikt sie nie zna. Na Totolotka nie ma mądrego. Tu trzeba grać na fart. Niech mucha typuje.

Zaczęliśmy ją maczać w atramencie i puszczać na kupon. W pięć minut mieliśmy wytypowane wszystkie gry. Odcięło sie trzeci odcinek przepisowo, dwa zabrał Wicusz Szparaga, żeby ich wysłać do derekcji.

W poniedziałek rano wpada do mnie szwagier.

— Idziem po forszę! Mucha wygrała wszystkie trafienia bezbłędnie! — I pokazuje mnie gazetę i odcinek

C.

Faktycznie, wszystko się zgadzało co do grosza. Ubrałem się żywo i lecim na Krakowskie do derekcji.

Pokazujem nasz odcinek facetowi w okienku. Obejrzał, ale mówi, że jest nieformalnie wypełniony. Leguramin wspomina, że powinni być krzyżyki, a tu są jakieś kółeczka, gwiazdki, rogaliki.

—Co pan będziez muchę rysunków uczył, gront, że jest sześć trafień.

—Zobaczemy, może się co da zrobić — mówi ten facet — tylko najpierw musiem odszukać przysłane odcinki A i B, w celu porównania.

I tu zaczęła się polka. Dwa tygodnie szukali i nie znaleźli. ?

Zrobiliśmy tam niemożliwy raban, obsztorcowaliśmy ich od kominatorów, przytomniaków, lepszych kanciarzy i temuż podobnie. Ale kupon się nie znalazł. Właściwie znalazł się, ale w kieszeni jesionki u Wicusia, którego zapomniał go wysłać.

Poszliśmy znowuż do derekcji, okazujem wszystkie trzy i mówiemy:

— Teraz wszystko w porządku, poprosiemy o moniaki.

I co na to powiecie, kochane rodacy — dali nam ucho od śledzia. Nie mają dowodu, że mucha wygrała — mówią.

—Nic nie szkodzi, przyprowadziłem świadków — odzywam się. — I szwagier widział, i Wicus Szparaga, i Mietek Gibasiewicz. I Mondzio Koraliowski może zaświadczyć, a on w młodości do mszy służył. Od tego czasu kłamać nie może, jaka się. Powiedz, Mondziu, kto wygrał?

—Mucha wygrała — powiedział Mondzio jak z nut. Jakby kłamał, zaciąłby się na „m”, szkoda mrugać.

Pomimo tego nie wypłacili nam ani grosza. Jest kant? Jest granda? Jest bezduszna biurokracja? Wiadomo, że jest.

Ale pomimo tego, gra się dalej.

## **JAK MI SIĘ UDAŁO NIE ZOSTAĆ RADNYM**

Było to w dziwnej epoce, kiedy radnymi stołecznej i dzielnicowych rad narodowych zostawali znakomici kolarze, przezabawni aktorzy rewiewi, mistrzowie szermierki, gimnastycy na przyrządach i w ogóle tak zwani ulubieńcy publiczności.

Na moim biurku nagle i stanowczo zadzwonił telefon: — Tu mówi dyrektor X. Proszę pana, nasza instytucja stawia kandydaturę pana na radnego. Proszę przyjść we wtorek o dwudziestej na zebranie, celem wygłoszenia mowy programowej przyszłego ojca miasta.

Zadrżałem na całym ciele:

—Ależ ja wcale się na tym nie znam, a poza tym nie chcę być więcej ojcem, w dodatku tak dużej i trudnej córki, jak Warszawa.

—Proszę pana, kto się na tym zna? Widział pan listę kandydatów? Sportowcy, artyści, literaci...

—No, widziałem... Ale taki kolarz wskoczy na rower i pojedzie sobie na wyścigi do Egiptu i ma spokój. Artysta zrobi parę zabawnych min, rozśmieszy najbardziej nawet ponure posiedzenie w sprawie opłat cmentarnych. Sportowcy jakoś się tam będą gimnastykowali z tymi sprawami. Ale cóż, ja mam poczucie humoru i wskutek tego biore wszystko poważnie.

Będę musiał działać jako radny, a tym samym rzucić robotę w swoim zawodzie.

— Dlaczego?

— Bo nie będę miał na to czasu. Niech pan sobie wyobrazi sytuację: siedzę przy felietonie, od razu drzwi się otwierają i wchodzi wzburzony wyborca.

„Panie szanowny, pan tu bazgrze piórem po papierze, a u mnie rura w klozecie pękła i woda mieszkanie zalewa.”

„To niech pan zatka.”

„Pan myśli, że to tak łatwo zatkać. Do wszystkich urzędów kanalizacyjnych już się zwracałem, nikt nic nie może poradzić. W Ministerstwie Dróg Słodkowodnych trzeba interweniować.”

„To niech pan interweniuje.”

„Ja? A pan od czego? Wybierałem pana na radnego czy nie? Wyłudzić głos od obywatela, toś pan był, a teraz zdechł pies. Ja mam ganiać? Po ministerstwach? No, jazda, jazda, bierz pan sakpalto i do rury.”

—Oczywiście, wypadnie mi rzucić robotę, ubrać się i zacząć ganiać w sprawie zatkania.

—No, ostatecznie korona z głowy panu nie spadnie, jak pan pomoże swojemu wyborcy — odrzekł na to chłodno dyrektor.

—Oczywiście, ale tych interwencji będzie na moje oko co najmniej kilkanaście dziennie, czyli że w rezultacie będę musiał złamać pióro lub schody załamają się w domu, gdzie mieszkam, jak w „Rzymie — godzina jedenasta.” Poza tym skutek będzie równy zeru. Nie mogę zostać radnym, niech się pan zlituje, mam żonę i dziecko.

Tu padłem na kolana przed własnym biurkiem.

Dyrektor pomilczał chwilę, wreszcie rzekł:

— A zatem we wtorek na zebraniu o dwudziestej. Nie poszedłem na zebranie, tylko na miasto szukać u odpowiednich czynników ratunku przed dyrektorem.

Na skutek tych zabiegów zostałem wreszcie ułaskawiony.

Różni wybrani wówczas radni nie spisali się specjalnie świetnie. Albo nie chcieli pracować, albo nie umieli. Kilku wylano w ciągu kadencji.

Miałem nosa.

Jestem w dalszym ciągu zdania, że nie należy wybierać do rad ulubieńców publiczności ani pani Skublińskiej. Bo pani Skublińska, sąsiadka moich przyjaciół, państwa Wątróbków, mawia zwykle:

„Jakby tak mnie za radną wybrali, wiedziałabym, co robić. Przede wszystkim każdy potrzebujący dostałby z miejsca dwa pokoje z kuchnią i wszelkiemu wygodamy. Po drugie w KAKAO okienko bym otworzyła, w którym każdy jeden obywatel mógłby brać tyle pieniędzy, „ile mu potrzeba na wszystkie wydatki, czyli że każdemu podług jego potrzeb.”

„No, dobrze,, ale kto będzie chciał siedzieć w tem okienku, jak może bez tego dostać każdą forszę” — zapytał sceptycznie pan Wątróbka.

„Sama będę siedziała do południa, a po obiedzie pani Gienia mnie zastąpi”.

„I owszem, złociutka, mogie panią zastąpić, ale nie przed świętami, bo mam sprzątanie i w ogonkach różnych musze postoić. Mój chłop tylko kogós pod krytykie potrafi brać, ale żeby sam cós wymyślił, to szkoda gadać, pani kochana.”

Jednym słowem, nie należy wybierać tych, którzy nie chcą, ani tych, którzy chcą za bardzo, zwłaszcza jeżeli mają proste, ale cudowne lekarstwo na wszystkie nasze bolączki.

Zdaniem pana Wątróbki Skublińska odpada.

## **F L A K I P O C H I Ń S K U**



Spłakaliśmy się wczoraj z Gienią jak małeletnie pętaki, kiedyśmy sobie te trzynastą rocznicę zaczęli wspominać,

—Pamiętasz — mówi do mnie moja małżonka — jaki to mortus wtenczas był, ani cebulki, ani w co wkrajać. Ludzie podobnież koty jedli, bo nie było leguralnego dowozu. A teraz już na rzeszowskie kiełbasę nosem kręca, że się każe nazywać jałowcową i kosztuje pięćdziesiąt złotych. Mówią, że sodowa woda cholerze do głowy uderzyła — delikates z awansu społecznego odstawia. Zagranicznymi dewizami każe niedługo za siebie płacić, taka jej w te i nazad charakteryzowana mamusia była,

—Faktycznie, pyskują o byle co, bo już zapomnieli, jak to było trzynaście lat temu nazad. Pyzy na stojaka przy gastronomicznych budkach na Marszałkowskiej wbijali w krzyże, aż się dymiło, a teraz taka „Portowa” jem się nie spodoba. A to kelnerzy niegrzeczne, a to goście szyby kuflami wybijają. A cóż to, kelner nie człowiek, a gość nie ma prawa się zabawić za swoje pare groszy?!

Poprzewracało nam się w głowach, poprzewracało. WZG zanadto nas rozpieszcza, już nam nie wystarcza narodowy schaboszczak z kapustą, sałatki z bambusa nam się zachciało, faszzerowanego kota w galarecie a w tem celu chińską restaurację na MDM-ie mamy

założoną. Można tam opędzłować kwiat smolinosu z ryżowem makaronem i popić to drewnianymi grzybkami oraz jaśminową herbata.

Jednym słowem, znowuż do kota doszliśmy, tylko że wtenczas jadło się go ż nędzy, a teraz z grymasów. Jeżeli o mnie się rozchodzi, to jeszcze w tej chińskiej restauracji nie byłem. Poczekam troszkie, aż normalnego warszawskiego fasonu nabierze, jak ten bar pod „Złotą Rybką”. Z początku same ryby tam byli: w śmietanie, z wody, na zimno, na gorąco, nawet nóżki w galarecie tyż byli z dorsza. A w rok później nawet szczupak po żydowsku był z wieprzowiny. Z ryb tylko śledzika w oliwie można było dostać, i to nie zawsze. Z tą chińską restauracją może być tak samo, jak gastronomiczna aprowizacja zamiast bambusa, brukiew jej dostarczy,

a zamiast smolinosy, kwaszonych ogórków. Zamiast napoju z grzybków drzewnych i herbaty jaśminowej czystą wyborową jej dostawią — wszystko będzie okiej i wtenczas się wybiorę.

Czytałem co prawda wczoraj w gazetach, że restauracja chińska oczekuje podobnież transportu tych swoich kitajskich nowalijek z krajów popołudniowych,

ale gdyby nie nadeszli, to mogię na razie służyć bambusowem stoliczkiem z pluszowymi bombelkami, po babci. Bombelki mogą być za pulpety do flaków po chińsku. Jest też w naszym podwórku jeden bardzo mięsisty kotek, którego mogię w każdej chwili dostarczyć. Najchętniej przed marcem, bo oka z tem draniem nie będzie można potem zmrużyć, tak sie po dachach prowadzi. No, ale żart żartem, śmiech śmiechem, Londyn ma swoją chińską restaurację, Paryż ma, to Warszawa co, od macochy?

W najgorszym razie praktyka w jedzeniu pałeczkami nam się zostanie; co w razie nawalenia planu na odcinku nakrycia stołowego — będzie dla nasz jak znalazł.

## CARMEN I KOŁDRA PUCHOWA

Dużo się nieraz dało nam słyszeć o tej operze pod tytułem „Carmen”. Totyż jak w kinie Roma na Nwogrodzkiej, troszkie na siłę przerobionem na teatr, zaczęli te sztuki przedstawiać, wybraliśmy się z małżonką zaraz pierwszego dnia.

Gieni, nie można powiedzieć, na razie bardzo się spodobało. Hiszpańskie „ciuchy”, czyli plac Szembeka w mieście Sewilli, przekupki z cytrynami i pomarańczami wykupionemi w tamtejszych Delikatesach — wszystko jak u nas. Życiowa sztuka, znaczy się. Nawet nie miała pretensji o to, że Carmena odbija narzeczonego, starszego przodownika policji, jednej niedużej, płacziwej facetce, jednocześnie na siłę chce sobie przygruchać samego komisarza, zdaje się, człowieka żonatego, śmiała się, bis biła i w ogólności była zadowolniona. Dopiero, jak się dowiedziała, że ta cała Carmen to Cyganka — zdechł pies! Odwróciła się i wcale nie chciała się patrzeć.

—Co mnie tam Cyganki obchodzą — mówi — lenie, flejtuchy, włóczykije, tylko patrz, gdzie co ukraść.

—Gieniuchna, ty się mylisz, przecież to jest Cyganka pracująca, w fabryce cygar się zatrudnia.

Ale nie chciała mnie słuchać. Rozchodzi się o to, że w dwa lata po naszym ślubie jedna Cyganka przyszła Gieni wróżvc i kordle puchową nam rąbła. Pomimo

tęgo ja już dawno zapomniałem i bronie Cyganów, jak mogię. A tu się szum robi na scenie, raban, zakłócenie

spokoju. Pokazuje się, że Carmen dziabnęła nożem koleżankie w fabryce i zakochana policja zmuszona jest do mamra ją zabrać.

Gienia tylko na to czekała. Sztukła mnie łokciem i mówi:

— No, kto miał racje? Dobra cholera ta twoja Carmen, nożem się posługuje. Wszystkie one takie.

— Gieniuchna, ty się mylisz — mówię na to. — Przecież nasza Polska Ludowa w Nowej Hucie pareset sztuk Cyganów zatrudniała przy budowli i nie było takiego wypadku.

— No tak, ale kradzieże się zdarzali.

— Nowa Huta nie seminarium duchowne i nie możemy na początek za dużo od ludzi wymagać. W każdym bądź razie Carmen śpiewa jak słowik, kiwnij ręką na kordle i słuchaj.

Ale gdzie tam, do wszystkiego zaczęła się czepiać. A to jej za gorąco, a to artyści zanadto odkarmione. pucułowate.

— Po mojemu są w sam raz. Podstawne, same w sobie, jak się to mówi, przy kości. Zresztą, o wiele nawet mają troszkie nadwagi, to jest propaganda. Rozchodzi się o to, że w operze bywa zagraniczna publika i musiem pokazać, jaką opiekę się nad kulturą i sztuką u nas roztacza. Nasz artysta świadczy o nasz. O naszym odżywianiu. A po drugie Hiszpani są mordziaste, weź chociażby pod uwagę takiego Franka. A w ogóle przestańmy się sprzeczać, bo ludzie zaczynają na nas psykać.

Troszkie się uspokoiła, nawet łzy miała w oczach, jak Don Jose — ten starszy przodownik — przez tę nieszczęśliwą miłość z policji nawiał i za szmukiel się złapał. Gume do żucia, swetry i suchą kiełbasę w tamtejszem Zakopanem przez granice przerzucał.

Nic mu to nie pomogło, bo w krótkim czasie Carmena rzuciła go dla jednego magika, którego w cyrku na krowie czy na byku jeździł. Na dobitek w sprzeczce miłosnej, jak się odwinęła, glinoszczak nogami się nakrył, chociaż sam również był chłop nie ułamek. Taki miała pemperament.

W ogólności było co widzieć i posłuchać. Wszyscy artyści zasuwali swoje arie jak najlepsze sześciolampowe radio z siódmą prostowniczą. Balet, bogata wystawa, drekoracje takie, że przyroda przy nich wysiada. Toteż publika, jak się to mówi, szalała. Kwiaty wnosili koszami. Jednym słowem, taaakie przedstawienie!

Tylko Gienia wszystko na końcu zepsuła. Kiedy dymisjonowany przodownik w charakterze oberwanego łapciucha z nożem za pasem w państwowym cyrku nr 1 przed położeniem Carmeny zimnym trupem najpiękniejszą arie „Zginiesz, zgago, z mojej ręki” zapylał, moja żona krzyknęła:

— No, zarżnij ją pan nareszcie? Pół do jedenastej, bramę nam zamkną!

Co może zrobić jedna puchowa kordła w kopercie ze wstawkami.

## NOWI TATUSIE

—Ano to mamy w taki sposób nowych tatusiów i parę mamuś magistrackich — powiedział pan Teoś Piecyk, znany dziejopis i przewodnik po Warszawie, spotkawszy mnie na Rynku Staromiejskim. — Chciałbym poprowadzić po Starówce wycieczkę z nich złożoną.

—A, mówi pan o nowych naszych radnych?

—Rzecz jasna, że o nich, nie o ludziach na Marksie. Najsampierw zaprowadziłbym te wycieczki na Szeroki Dunaj pod piąty i pokazałbym dom, w którym zamieszkiwał i warsztat szewcki prowadził niejaki pułkownik Kiliński. Dlaczego pułkownik damską i męską pasową robotę przyjmował, możem wytłomaczyć detalicznie, chociaż krótko.

To było tak:

Kiliński z rzeźnikiem Sierakowskim dali ciężki okład, czyli wycisk, jednemu carskiemu gienierałowi i kota mu popędzili z Warszawy. Za to dostali gwiazdki. Jednym słowem, nie matura, lecz chęć szczerą zrobi z ciebie oficera.

—No, dobrze, ale dlaczego właśnie tu przyprowadziłby pan wycieczkę radnych?

—Do kolegi po lachu, Kiliński był także samo radnym Dzielnicowej Rady Narodowej Starówki, i to radnym

wcale niewąskiem.

Wyszliśmy z Dunaju znowu na Rynek.



— Tu na środku stał tak zwany pręgierz, czyli żelazna klatka, w której się wystawiało na widok publiczny oprychów różnego gatunku, a także samo osobistości oszukujące na wadze. Nasze przyszłe radni powinni się zapoznać z tem urządzeniem, a może by się przydało dla chuliganów i niektórych kierowników sklepów spożywczych, tak uspołecznionych, jak i prywatnych. Dla Delikatesów, jakby zasłużyli, musiałaby być luksusowa, z firaneczkami... A teraz przejdźmy się troszkie na Freta.

Gdyśmy się znaleźli na miejscu, pan Piecyk zatoczył palcem duże koło i powiedział:

— A tu kiedyś była tak zwana Góra Gnojowa. Jak

sama nazwa wskazuje, składała się ona z tak zwa

nych odpadków użytkowych i nieczystości. Obecnie, jak widziem, Góry Gnojowej tu nie ma, stoją od pięciu lat nowiutkie domy zabytkowe z centralnym ogrzewaniem. Ale żeby sobie przedstawić, jak taka góra gnojowa wyglądała, wystarczy wejść do pierwszego lepszego warszawskiego podwórka i rzucić okiem na śmietnik.

Góry te są może troszkie mniejsze, ale pod względem zapachu, czyli detalicznie smrodu, indentyczne. Warto by o tem pomyśleć, panowie radne.

Poszliśmy na Piekiełko. Pan Teoś zadumał się nieco, a potem rzekł:

—I cóż my tu widziem? Nieduży placyk, niedaleko od niego ulice Piekarskie, Na jaką to pamiątkie? Na taką pamiątkie, że na tem placyku, zwanem Piekiełkiem, byli w swoim czasie zastosowane niedozwolone metody i wypaczenia do niejakiego Piekarskiego, któren z nożem rzucił się w kościele na króla Zygmonta. Pod wpływem tych metod Piekarski plątał się mocno w zeznaniach.

—Wie pan, że nie bardzo rozumiem, po co pan tu zamierza przyprowadzić wycieczkę radnych? Gdy pana o to któryś z nich zapyta, jak mu pan odpowie?

—Odpowiem tak: żebyś pan nie plótl w Radzie jak Piekarski na mękach.

## POCZĄTKI TELEWIZJI

Przeczytałem pare dni temu nazad w Ekspresiaiku, że podobnież w ramach tak zwanej rehabilitacji ma sie odbyć otwarcie nazad Kiercelaka, któren w swoim czasie został niewinnie zamknięty.

Co to był Kiercelak, nam, ludziom ze starszą datą, nie trzeba detalicznie tłumaczyć, ale młodziaki w wieku zetempe mogą nie wiedzie i dlatego musze zagaic pare słów.

Kiercelak był to, proszę młodzieży socjalistycznej, największy przedwojenny dom towarowy, czyli Cedet na świeżem powietrzu, a detalicznie ciągnął się od rogu Wolskiej do rogu Leszna, czyli, jak sie teraz mówi, Trasy Wuzet.

Dostać tam było można wszystko — od flaków z pulpetamy do fortepianów, nie mówiąc o takich specjalnościach, jak rasowe gołębie, gramofony, obuwie, chleb świętojański, króliki, broń palna, pokarm dla złotych rybek i temuż podobnież. Niech mnie kto pokaże taki wybór towarów w Cedecie w Alejach!

Rzecz jasna, że na nowootwartem Kiercelaku, oprócz dawniejszych artykułów, będą najnowsze zdobyczne techniki, jak amerykańskie ciuchy i telewizory.

Chociaż jeżeli sie rozchodzi o telewizor, to już przed wojną tam był. Jeden, ale był. Troszkie ma sie rozumieć inszy jak te dzisiejsze, ale tyż obleciał.

Miał go na Kiercelaku niejaki Nóżka. Maszyneria

składała się także samo z niedużej skrzynki, tylko że do patrzenia byli dziury po dwie na każdego, ma się rozumieć, klienta. Ponieważ że przedstawienia odbywali się przy świetle słonecznym, dyrektor telewizji, czyli ten ów Nóżka, nakrywał klientów workiem. Jednocześnie mogli patrzeć dwie osoby.

Nóżka znajdował się z drugiej strony, kręcił korbą i udzielał tak zwanych informacji. Facet był uczony i znał się na swoim fachu, tylko miał te kiepskie zaletę, że lubiał sobie podchromolić i wtenczas widoczki mu się mieszały.

Tak też było w tym danym razie, kiedy ja się znajdowałem pod workiem z jednym łysym w okularach. — „Cicha noc księżycowa” — objaśnia Nóżka. A cóż my widziem?

Ani nocy, ani księżycy nie ma — tylko Boerzy z Anglikami się naporzają, aż się dymi. Ja tam nic nie mówiłem. Myślę sobie, niech będą Boerzy, ale łysy pyskował.

— Nic, nic — mówi Nóżka — maszyna przeskoczyła, ale zaraz wszystko będzie po formie. — I znowuż objaśnia: — „Pogrzeb Franciszka Józefa”.

A cóż my widziem? Tresowane foksteriery przez obręcz skaczą. Ja znowuż nic nie mówię, a ten w okularach apiać spod worka grymasi.

Jak za trzecim razem dyrektor powiedział: „Zabawa w haremie” — a pokazał się nam gienierał Kuropatkin z brodą i na białym koniu, łysy krzyknął:

— Granda, oddać pieniądze!

Ciemno się zrobiło — telewizja zgasła. Nóżka nadmienił:

— Teraz wam pokaże zabawę w haremie.

I od razu czuję, że **ktoś** mnie zaczyna z wierzchu . zaprawiać przez worek kijem. Zerwałem się ze stolka, chce się wygrzebać na światło dzienne, ale nie mogę, zaplątałem się w worku razem z łysym i z telewizją, tak

że jedna żywa ruina się zrobiła. Kotłowaliśmy się na placu tam i nazad, a Nóżka krugom dawał nam wycisk, aż go policja zabrała. Takie byli początki telewizji.

Do czego ja prowadzę? Prowadzę do tego, że musiem być wyrozumiałe dla ostatniego krzyku techniki. I o wiele teraz obecnie siedziem przed telewizją i obraz nam się miga albo znika jak kamfora lub nie słyszem głosu, a morda artyście się rusza, nie mozem rabanu podnosić, bo musiem wiedzieć, że w telewizji także samo śmiertelni ludzie pracują, które mogą mieć jakieś jemieniny, chrzciny czy inszą uroczyść w rodzime.

W każdym bądź razie cieszymy się, że Kiercelak znów będzie czynny, bo jestem pewnem, że będziem się tam mogli zaopatrzyć w tanie, okazyjne, mało używane, atomowo-jądrowe telewizory, bez kolejki, za głupie pare „patyków”. A może Nóżka znów otworzy swój interes?

## | M Y   S I Ę   N A   T O   N I E   Z G A D Z A M Y !

Bardzo mnie się spodobała w Ekspresiu te kawałki: „My się na to nie zgadzamy”. Faktycznie, to jest bardzo pożyteczna rozróbka umysłowa. Każdy jeden czytelnik, którego się na coś nie zgadza, ma możliwość wziąć to, jak to się mówi, na papier. Rzecz jasna, za wyjątkiem tych, co się w ogóle na to wszystko nie zgadzają. Ja osobiście chciałbym tu poruszyć pewną sprawę z branży doktorskiej. Detalicznie rozchodzi mnie się o szwagra, którego, jako obłożnie chory, przebywa w szpitalu.

Nie można powiedzieć, na razie bardzo sobie chwalił opiekę, aż jednego razu doktor kazał mu zrobić płukanie. Płukanie, nie płukanie, właściwie to nawet płukanie, tylko że nie z tej strony... Co tu zresztą w bawełnę owijać i ogródkiem chodzić, medycyna nie znosi krępacji — lewatywę kazał mu zrobić na drugi dzień rano!

Szwagier poszedł spać jakby nigdy nic, a tu o pierwszej w nocy siostra go budzi. Nieprzytomny z pierwszego snu się zerwał, za łóżko łapie i chce wynosić, bo myślał, że się szpital pali. Ale siostra wzięła go za ręce i zaprowadziła na korytarz pod drzwi „z winkiem”, i mówi:

—Ja tu na pana zaczekam.

—Po co?

—Jak pan wróci, żeby pana odprowadzić na sale.

—  
Kiedy  
ja  
wcale  
nie  
pójdę,  
bo nie  
mam  
życzeni  
a.

— Nie przeszkadza, musi pan. Doktor wie lepiej.

No, to szwagier trochę pocholerował, ale poszedł, ledwo na nowo sen go troszkie zmorzył, czuje, że coś go szarpie za łokieć.

To była ta sama siostra i znowuż go chce prowadzić na korytarz. Złapał na nią kapcia, ale mu nie pomogło, dała mu rade i tylko objaśniła, że doktor kazał go w tem celu budzić co godzinę, żeby się wprawiał.

Piekutoszczak do rana tak się wprawiał, że już na zegarek nie potrzebował patrzeć, tylko punktualnie co godzina wyskakiwał z łóżka jak polny konik i leciał z korytarza na lewo.

I co się pokazało, na drugiej sali leżał pacjent chory na taką słabość, że się we śnie zapominał. On to właśnie miał zapisane te wprawki, a nie szwagier. I w tem czasie, jak Piekutoszczak na korytarz latał, chory spał sobie jak suseł i może sobie wyobrazić, jak się zapominał.

Cóż, omyłka ludzka rzecz, gorzej, że jak szwagier niewyspany, całył w dreszczłeh, zgłosił się rano w sprawie lewatywy, insza już siostra zaczęła w niego wmawiać jak w chorego jajko, że już był i otrzymał swoją porcję. Szwagier się mocno zdziwił, ale myślał, że może przez sen go załatwili, i nie podnosił chwestii.

I co się pokazało, zaszła druga pomyłka. Lewatywę zrobili całkiem innemu facetowi, który przyszedł do łazienki się umyć. Na razie się nie zgadzał. Nawet było słyhać na salach, jak krzyczał i przewracał stołki, ale



łapiduchy go przytrzymali i otrzymał niewąską porcję rumianku.

Nic się faktycznie nie stało, obsługa szpitala wykazała troskę o człowieka, a że nie o tego, o którego się faktycznie rozchodziło, no to nie bądźmy zanadto drobiazgowi. W każdym bądź razie zabiegi były przeprowadzone, plan nocnodzienny wykonany, norma załatwiona.

Tłumaczyłem to szwagrowi, ale tak on, jak i ten, co go nie obudzili, a zwłaszcza facet, którego niewinnie gorący rumianek otrzymał, zakrzyczeli mnie:

— My się na to nie zgadzamy!

## SPUTNIK NUMER TRZY

Niemożliwie się interesuje temi satelitami, czyli tak zwanymi sputnikami numer jeden i numer dwa, bo sam osobiście jestem numer trzy. Właściwie to mam zaszczyt być starszym sputnikiem niż te oba, bo dwadzieścia parę lat już ganiam naokoło Gieni, tak jak mnie ona zagra. Po podłodze, po suficie latam i parametry zasuwam po takiej orbicie, jaką mnie moja małżonka wyznaczy.

Ale więcej do tego drugiego sputnika jestem podobny, bo z pieskiem. Tylko, że mój piesek nie jest suczką i nazywa się, jak wiadomo, Azor. Obydwa koło mojej małżonki się kręcim jak najęte, w zadawalniającym stanie zdrowia. Nosy mamy zimne i sami też się nieźle czujem. Przynajmniej Gienia tak twierdzi.

No, ale śmiech śmiechem, żart żartem, byliśmy ze szwagrem Piekutoszczakiem ogromnie ciekawe, jak ten satelita numer dwa wygląda. Jakżeśmy przeczytali w prasie, że będzie leciał nad Warszawą o czwartej trzydzieści rano, całą noc czuwaliśmy, żeby nie zasnąć i nad Szmulkami go zaobserwować.

W tym celu zaczailiśmy się na niego w ogródku niejakiego Miglasińskiego na Kawęczyńskiej, pod drzewkiem, bo podobnież na ulicy latarnie przeszkadzają i przez to może być słaba widoczność.

**Szwagier skompinował gdzieś rolnetkie i dawaj w niebo kapować na zmianę, bo nam ręce mgleli.**

**Punktualnie o czwartej trzydzieści, jak w zegarku, szwagier krzyczy:** **— Jest,**

**jest, sputnik! sputnik!... ale zapycha „wo wsiu iwanowsku”...**

**— Gdzie, gdzie, pokaż, Oleś?...**

**— Zaraz, czekaj, niech się sam napatrzę... Ty tymczasem słuchaj sygnałów. No, słyszysz co?**

**— Owszem, słyszę szczenie.**

**— Co ty mówisz? To Łajka szczeka...**

— Ale jakoś za blisko...

— O rany gorzkie... ona nie tylko szczeka, ale i gryzie!... — krzyknął szwagier i wdrapał się na drzewo. A ja za niem.

Ale przedtem nogawki od spodni żeśmy postradali, ja lewą, a szwagier prawą. Suczka nam ich urwała.

Tylko że nie Łajka, a Rozetka Miglasińskiego. On nasz właśnie poszczuł, bo o niczem nie wiedział i myślał, że złodzieje do ogrodu mu się zakradli.

W ten deseń nie tylko sputnika nie widziałem, ale jeszcze miałem wydatki na sztuczną cerownię. Ale się nie zniechęcam, dzisiaj znowuż idziem ze szwagrem na obserwacje, tylko już gdzie indziej, i bierzem ze sobą kiełbasę dla koleżków Łajki.

## **S O B I E S K I M I A Ł L E P I E J**

No i **co**, nabijaliśmy się z wilanowskiej ciuchci, że jeszcze nieboszczyk król Sobieski wojsko na wiedeńskie odsiecz na nią załadował i do Warszawy na zborny punkt przewiózł.

Byle pętaczyna drakie z tej komunikacji urządzał i domagał się skasowania tego przedpotopowego podobnieź środka lekomocji. A teraz co się pokazało?

Ciuchcia ze stękaniem co prawda, ale zapychała z Wilanowa do Warszawy trzynaście minut, a nowoczesny tramwaj pośpieszny, elektrycznością pędzony, pokrywa tę trasę w minut czterdzieści z hakiem. Oprócz tego ciuchcia cały Wilanów, Konstancin, Klarysew, Skolimów i Sadybę „na raz” do Warszawy zabierała i dostawiała w stanie zdatnem do użycia, troszkie tylko przyduszonym, do fabryk, biur i zakładów.

A teraz, chociaż do Bożego Narodzenia daleko, kaźden tramwaj jak choinka obwieszony szczęśliwemi pasażerami. Te, co nie mieli szczęścia ucześcić się chociaż na buforze, zziajane, przegrane, piechotą mu-

szą ganiać do stolicy. Jednym słowem, król Sobieski miał lepiej.

Takie i tera podobne niechętnie głosy dają się słyszeć o nowopuszczonym tramwaju 33. Ludzie sztorcują te nowoczesną komunikację na czym świat stoi, ale się okazuje, że nie mają racji.

Bo, jak donosi prasa, tak jest dlatego, że biuro studiów tramwajowej derekcji „prowadzi obserwacje i pomiary, żeby się przekonać, czy nowa linia zdała egzamin”..

Więc pokazuje się, że to nie jest żadna nawalanka komunikacyjna, tylko doświadczenie naukowe. Uczone faceci z biura studiów dzień w dzień samochodem obok tramwaju zasuwają i prowadzą obserwacje, ilu pasażerów mieści się na każdym stopniu, ilu może wisieć „na cycku”, czyli wyżej wymienionym buforze.

Także samo robione są dokładne pomiary, ile centymetrów w pasie oraz ile żywej wagi traci pasażer, którego się przeleci za tramwajem z ulicy świętego Bonifacego na Sadybie do śródmieścia. Studia takie prowadzone będą codziennie przez cały miesiąc dla dobra polskiej nauki. Nie trzeba objaśniać, jaki z tego pożytek odniesie nasza wiedza, ze szczególnym uwzględnieniem tak zwanej gałęzi sportowej.

I naprawdę trzeba być niekulturalnym ciemniakiem i nie uświadomionym żłobem, żeby nie rozumieć znaczenia tej doniosłej pracy oświatowej. Przecież, do cholery, musiem się przekonać metodą naukową, czy linia zdała egzamin, czyli też nie?!

Jakby tak byle ciapciak, zobaczywszy, co się dzieje rano i wieczór na królewskiej drodze, mógł powiedzieć już pierwszego dnia: „Za mało tramwajów, za mało autobusów — szafa nie gra” to do czego byłoby Biuro Studiów? Co by miało robić? Buber sprzedawać? Po co ta mowa?

Nie dajmy się zastraszyć, koledzy tramwajowe naukowcy. Miesiąc studiów, a potem się wyciągnie tak zwane wnioski.

Każden bezstronny obywatel przyzna wam racje,;  
rzecz jasna nie zamieszkały w tamtych stronach.

## **HELENA I ZOOTECHNIK**

Gienia od czasu, jak się spłakała na „Dziadach” w Polskim Teatrze, przepada za Mickiewiczem. Toteż jak usłyszała w radiu, że na Puławskiej grają jego sztuki historyczne pod tytułem „Piękna Helena”, kazała mnie zaraz jechać po bileta.

Jest to dramat małżeński w trzech aktach z życia wyższych czynowników państwowych w starożytnej Grecji, ze śpiewamy i tańczymy. Rozchodzi się o to, że pewien starszy facet, zatrudniony w charakterze króla, posiadał za żonę twarzową, podstawną blondynę, która w swoim czasie zdobyła pierwszą nagrodę na konkursie piękności, czyli że została się tak zwaną „Miss Grecją”.

Rzecz jasna, że podsunał się jeden młodziak, również także samo laureat zgadywanki literackiej w tamtejszej „Zgaduj zgaduli”, i małżonkę mu kilkakrotnie poderwał.

Ostatecznie wypadek ten nie jest odosobniony. W Warszawie było coś podobnego z facetem, który wygrał w indyferentnych okolicznościach telewizor marki „Rubens”. Uciekła z nim do Płocka właścicielka nagrody pocieszenia w tym samym konkursie, a detalicznie flakonu radzieckich perfum „Mak”, osobistość zameżna. Dopiero kiedy telewizor okazał się do kitu, mężatka powróciła do domu.

Jeżeli się rozchodzi o Piękną Helenę, to przygru

chał ją sobie podczas manifestacji narodowej niejaki Parysiak, pastuch z sąsiedniego majątku państwowego. Przez delikatność względem nieszczęśliwego króla powinien on się, po mojemu, nazywać w sztuce — zootechnik.

U nas na przykład nie ma pastuchów. Może dlatego tak często brakuje masła w Delikatesach. Nie ma też dozorcego, nie mówiąc już o stróžu. Jest zamiast niego „gospodarz domu”. I faktycznie może to i lepsze. Weźmy na przykład pod uwagę taką tabliczkę na drzwiach w podwórzu: „Klucz u gospodarza domu”. O wiele poważniej to wygląda — byle łachudra już nie przyjdzie.

Zootechnik na razie Heleny nie zwrócił, wprost przeciwnie, w obecności męża i sfer rządowych zabiera ją na ksiuty helikopterem. I tak się ta sztuka kończy. Opowiadać, co tam było więcej, nie ma potrzeby, bo i tak wszyscy pójda. Musze tylko nadmienić, że artyści jak jeden odgrywają na sto dwa. Pan Witas ubrany był za króla Menelausa, za Helcie była rozebrana pani Artemska. Publika biła niemożebne bis i obstawiała artystów kwiatami. Na końcu wszyscy zaczęli krzyczeć jeden przez drugiego:

— Mickiewicz, Mickiewicz!...

Ja się patrzę na Gienie, Gienia na mnie i mówię:

— A to ciemniaki, nie wiedzą, że Mickiewicz dawno już nie żyje.

A tu patrzeć, z drugiego rzędu wstaje jakiś wysoki bronet, przeskakuje przez publikie w pierwszym rzędzie i melduje się na scenie.

— Co to za Mickiewicz? mówi do mnie Gienia. — Chyba nie ten z Krakowskiego?

—To musi być wnuczek tamtego.

—I też do wiersza układa?

—Widocznie to u nich rodzinne.

Dopiero przy wyjściu **ktoś** mnie objaśnił, że to nie Mickiewicz, tylko Minkiewicz, ale faktycznie wnuczek tamtego. Tylko literę sobie zmienił w środku za czasów jednostki, bo wtenczas mieć dziadka, któren przeważnie



za granicą przebywał, nie należało do przy. jemności.

Ten wnuczek był piśmienny, specjalista od pięknych mężatek, rzecz jasna w druku. Już niejedną obrobił tak, że było co poczytać. On właśnie wziął w swoje ręce „Piękną Helenę” i wytworzył z niej te pouczającą sztukie.

A teraz o czym ona nas poucza? Poucza o tem, że o wiele znajdujem sie w tak zwanej sile wieku, nie mozem sie narywać na opatentowane piękności: wszystko jedno, czy to będzie Miss Grecja, czy Miss Góra Kalwaria, czy Najpiękniejsza Warszawianka z konkursu Expressu. Bo musiem pamiętać; że licznik bije, czyli że czas ucieka i zawsze mozem być narażone, że jakiś zootechnik czy inszy cwaniak króla Menelausa z nas wystruże.

## PODATEK WOLNOŚCIOWY

Dużo teraz obecnie rozpisuje się prasa o tych różnych zmianach w podatkach — dochodowem, obrotowem, od pensji i temuż podobnie. Między innemi wspomina się też czasem o tak zwanem podatku kawalerskiem i dziecinnem.

Jeżeli się rozchodzi o ten pierwszy, to faktycznie nikt złego słowa sobie powinien powiedzieć. Bo rzeczywiście, nie może płacić tak samo obywatel z większemi obowiązkami, zmuszony do ściągania kamaszy w bramie, kiedy mu się zdarzy później wrócić do domu ze „szkolenia”, jak facet niezależny od zegara przy łóżku żony. Przyjemna to jest rzecz, ale minister skarbu musi mieć z tego dołę.

Podatek kawalerski jest słuszny i powinien być nazwany wolnościowem. My, Polacy, za wolność zawsze płaciliśmy chętnie najwyższą nawet cenę.

Ale jeżeli się rozchodzi o tak zwany podatek dziecinny, no to faktycznie zmuszony jestem założyć tu przeciwko niemu tak zwany protest. Bo teraz to jest tak, że przepis mówi: „Podatnicy żonaci, nie posiadający po dwóch latach małżeństwa dzieci, płacą za to dwadzieścia procent”. Jaki to jest podatek, detalicznie nie wiem, w każdym bądź razie nie obrotowy, nazwałem go tutaj dziecinnem.

Nie wiem, jak sie odbywa obecnie wymiar tego po

datku, ale przypuszczam, że tak: naczelnik urzędu wzywa do siebie taką bezdzielną ofiarę losu i mówi:

—Jak tam u pana z powiększeniem rodziny?

—Co proszę?

—Spodziewasz się pan dziecka?

—Jakoś nie.

— O, to niedobrze, rząd liczył na pana, a tu dwa lata minęły i ani dudę. Bardzo mnie przykro, ale zmuszony jestem wymierzyć panu podatek za bumelaństwo.

I już od nowego roku facet leży na pareset złotych. Ja osobiście już się przyzwyczailem, ale mój sąsiad, niejaki Kwiczol Anastazy, tragedie małżeńską stale i wciąż z tego powodu przeżywa, żona stale i wciąż mu dokucza, że ją zrujnuje, że jak się przed rządem nie wykażą chociaż jednym dzieckiem, urząd skarbowy wszystkie rzeczy na fure jem zapakuje i wywiezie na licytację. On jej mówi:

— Władzia, ty się mylisz, taki podatek to może być ściągany jak z kogo, na mnie rząd dawno już przestał pod tym względem liczyć.

Ale ona furt swoje i spokoju mu nie daje, żeby się przed tem podatkiem ratować. Straszny jest ios tego człowieka.

Tak być nie może i teraz przy rozpatrywaniu od nowa podatków sejm powinien się zająć i tem dziecinem. Jeżeli już nie można go całkowicie zredukować, trzeba zaraz w pierwszych miesiącach udzielać miodem małżeństwom nagany z ostrzeżeniem, bo niejeden pan młody nic nie wie i zasypia gruszki w popiele.

### **WYMIANA KULTURALNA**

Niezwykłe drażliwej i delikatnej natury sprawę rozpatrywał w tych dniach referat karny Dzielnicowej Rady Narodowej.

Rozprawa była publiczna, niemniej jednak, zarówno członkowie kolegium orzekającego, oskarżony, jak i świadkowie często ścisiali głos. Czym się to tłumaczyło, zaraz wyjaśnię.

— Nie wiem, o co się rozchodzi, jak Wysoki Sąd szanuje! — twierdził oskarżony, obywatel Hilary Lepszy, przedsiębiorca okolicznościowy.

— Oskarżony pan jest o nieprzystojne zachowanie się na ulicy Kruczej, a mianowicie... — tu przewodniczący kolegium ścisza głos po raz pierwszy. — Czy tak było?

— Owszem, panie sędzio. Ale trzeba znać ulicę Kruczą, bram ani podwórek tam nie ma, same biura. Zresztą, było już po jedenastej wieczór... Więc, ma się rozumieć, ja, jako człowiek żyjący, jak to mówią, dziecię natury, zmuszony byłem...

Dalszy ciąg zeznania wygłoszony był przejmującym szeptem. Pod koniec jednak znowu rozległ się miły, choć lekko zachrypnięty głos podsądnego:

— Ale, proszę Sądu Wysokiego, weszłem za dorożkę. I nikt by tego nie widział, tylko że jak raz dorożka odjechała, a nadeszła milicja i zaraz a to, a tamto... protokół i obraza moralna, żadnej obrazy moralnej być nie mogło, bo po pierwsze było ciemno, a po drugie deszcz padał. A po trzecie, to jest jakieś bolesne nieporozumienie. Pisze się po gazetach o kulturalno-oświatowej wymianie z Francją i takie protokoły zestawia?

—A cóż to ma wspólnego z Francją?

—Co ma, zaraz się Najwyższy Sąd przekona. Ja jestem człowiekiem oblatanem po świecie i w zeszłym roku bawiłem przez miesiąc u szwagra we Francji, w mieście... Witryolej... nie Witryolej, detalicznie nie pamiętam, ale w każdym bądź razie była to nazwa taka więcej apteczna. I właśnie w tem mieście na ścianie domu kultury, gdzie teatr przedstawia, a także samo w kręgle sobie można pograć, jest urządzenie, które każdy może wykorzystać bez strachu, że mu dom kultury odjedzie. Nie ma tam żadnych parkanów, ścian, blaszanek... Całość na świeżem powietrzu. Wszyscy przechodzą i nikt się nie dziwi... O żadnych protokołach, rzecz jasna, nie może być mowy. Szwagier chciał mnie tam nawet sfotografować na pamiątkę, ale się nie zgodziłem i teraz żałuję, bo miałbym czarno na białem dowód rzeczowy dla Wysokiego Sądu. Ale i tak mogię zeznać pod przysięgą.

—Wierzymy panu, ale to nie ma żadnego znaczenia. Co kraj, to obyczaj.

—Jak to, nie ma znaczenia? To Krucza taka ważna w porównaniu z tamtą ulicą, od kiedy? Rozchodzi się o to, że we Francji jest troska o człowieka potrzebującego, u nas szukaj, bracie, ruin, których, jak zresztą Wysokiemu Sądowi wiadomo, jest w Warszawie już teraz jak na lekarstwo. I dlatego w tak

zwanych ramach wymiany kulturalnej z Francją, proszę o niewinny wyrok.

Kolegium orzekające nie uwzględniło jednak wniosku oskarżonego i skazało go na sto złotych grzywny.

Obywatel Hilary Lepszy wyszedł z sali obrażony i rzekł do mnie w korytarzu.

— Może za ślimaki tyż niedługo mandat będziemy płacić?

- Za ślimaki? — spytałem zaintrygowany.

— Detalicznie za ich spożycie. Bo musze panu powiedzieć, że u szwagra nauczyłem się ślimakiem w charakterze zagrychy posługiwać. Pod jedną wódkie gorący ślimaczek na masełku z czostkiem smakuje jak prawdziwa wieprzowa kiełbasa z patelni... I trzeba się namyślić... albo zamknąć granice i nie pozwalać ludziom wyjeżdżać, albo przestać ich karać za wymianę wynalazków z tak zwaną siostrzycą. *Ure-voir mesje et mesdames* — tu obywatel Lepszy skłonił się z goryczą w stronę mieszanego damsko-męskiego kompletu orzekającego i wyszedł pogwizdując: „Que sera, sera!”

## ŚWIĘTO GIENIUCHNY

Już z tydzień temu w tył Gieniuchna szykowała się na to dzisiejsze święto Kobiet.

— Ciekawa jestem mocno — mówiła co i raz — jakie to prezenta mój kochający mąż wręczy mnie na tę uroczystość. Czy to czasem nie będzie tak, jak w zeszłym roku, co to razem z mojem ancymonkiem braciszkiem dla uczczenia święta Kobiet zaleli się w drobną krakowską kaszkie.

Faktycznie, w zeszłym roku tak było, daliśmy Gieni świąteczny urlop, a same u „ślepego Leona" popłynęliśmy troszkie, jak to się mówi, ku czci.

Najpierw wypilo się pod jedną rączkie Gieni, potem pod drugą. Następnie, pod lewe nóżkie i pod prawe, i pod cały korpus deliktus. Potem wzięliśmy pod uwagę inne znane osobistości rodzaju żeńskiego. Ale zgubiła nas faktycznie Liga Kobiet, chociaż całej nie zdążyliśmy uczcić. Kto by dał rade — w samej Warszawie jest ich ładne parnaście tysięcy sztuk członkiń. Wypilo się zdrowie wyłącznie prezydium z sekretarzą na czele, a i tak o mały figiel bylibyśmy się dostali do „hotelu dla uperfumowanych", czyli izby wytrzeźwień. Całe szczęście, że na milicjantki żeśmy trafili. Szwagier założył mowę o historycznym znaczeniu Dnia Kobiet i zakończył okrzykiem:

— Niech żyje władza ludowa z wieczną ondulacją



i w nylonowych desusach! Z nią chcemy żyć i nie umierać!

No i puścili nas. Ale Gienia dokuczała mnie tem stale i wciąż.

W tem roku postanowienie zrobiłem uczcić damskie święto wyłącznie za pomocą prezentu dla tej mojej konsystorskiej miłości. Wybrałem sie wczoraj sam, bez szwagra. Obeszłem cały Cedet od parteru do szóstego piętra, ale żem koniec końców kupił pare ładnych rzeczy. Przyszłem do domu i wręczyłem Gieni te prezenta. Ogląda, oczy na mnie postawiła i pyta sie:

—Co to jest?

- Nie widzisz, kochana? Koszule.

—Męskie?

—Męskie.

—I to dla mnie na prezent?

— Dla ciebie, najdroższa. Chodzić w nich będę ja, ale ty nie będziesz potrzebowała robić tak często przepierki, czyli że będziesz mogła więcej czasu poświęcić na godziwe rozrywkie lub też wypocząć. Więc kto skorzysta?

—A w tej drugiej paczce?

—Sześć par skarpetek.

—Dla kogo?

— Dla ciebie, boginio swojej piękności, świąteczna Jubilatko jutrzejsza.

— Takie duże, to chyba też dla siebie kupiłeś?

— Widzisz, rozchodzi sie tu o twoje oczki, żebyś nie potrzebowała zwroku sobie męczyć przy cerowaniu. Bo masz świętą rację, że ja mam fatalny chód i dre na piętach jak szatan. Teraz starczy nam ich na dłużej i będziesz sobie mogła troszkie więcej pospać albo jakoś inaczej poświętować. A jutro przecież jest twoje święto. Chodź, to cie pocałuje!

Zamierzyła sie na mnie kaczka, bo i bite kaczkie kupiłem dla niej na ten obchód.

Dzisiaj Gieniuchna siedzi od rana w kuchni i

kaczkie skubie, aż pierze fruwa.

Pomidorowe zupe już wstawiła. Potem ochajtnie troszkie mieszkanie, poprasuje po swojemu te koszule. Pozmywa i usmaży nam jeszcze faworków, bo szwagier ma być na obiedzie.

Niech wie babka, że to dzisiaj jej święto!

## **NOWY TRYB**

Pierwszem przykazaniem handlowego uspołecznionego fachu było jeszcze niedawno temu w tył — trzymać klienta krótko przy twarzy. Nie dać mu grymasić i przebierać w towarze jak w ulęgalkach, odmieniać zakupu i temuż podobnie. Aparat handlowy miał sprzedać, klient kupić, zabrać i cześć — romans skończony.

— Jak kupującemu popuścić troszkie cugli, zaraz zaczyna brykać — tak miał zwyczaj przemawiać kierownik sklepu trekstylnego u nasz na Szmulkach, z zawodu kiedyś pogromca zwierząt w wędrownej menażerii.

Nie mozem nawet powiedzieć, że nie załatwiał lekramacji. Owszem, załatwiał, ale odmownie, za pomocą tak zwanego wierszyka. Wierszyk ten nawet kazał złotymi literami wypisać na ścianie sklepu:

„Widziały gały, co kupowały”.

Jeżeli klient był uparty i zagrażał zażaleniem, mówiło mu się tam: — Pisz pan podanie do składu węgla! — albo: — Służ panu lekramacja do ślepej kiszki!

Tak było przez dłuższy czas, ale raz się ten ów kierownik zdenerwował i uderzył bykiem jednego nachalnego klienta, który nie chciał pisać ani do składu węgla, ani też lekramować u ślepej kiszki, tylko się domagał książki zażeń. Skończyło się na tem, że

kierownik został zawieszony, a potem przeniesiony w drodze dyscyplinarnej do Kultury i Sztuki, żeby nabrał troszkie ogłady.

Rzecz jasna, że tak się załatwiało lekramacje w tem jednym tylko sklepie na Szmulowiźnie. No, może jeszcze z jeden taki by się w Polsce znalazł, a już najwyżej dwa.

Gdzie indziej personel starał się załatwiać wszelkie pretensje klienteli w miarę, ma się rozumieć, możliwości. Możliwości te byli co prawda nieduże. Jeżeli dajmy na to, kupujący odnosił radio, że warczy, przyjmowało go się tylko w depozyt i czekało, aż się trafi na niego amator głuchoniemy, bo pieniędzy kasa zwrócić nie mogła. Jak znowuż w sklepie z ciężką odzieżą męską zdarzała się lekramacja, że klientowi robi się w smokingu worek na plecach, personel przyjmował towar z powrotem, ale tylko w tem wypadku, jeżeli miał w brygadzie sklepowej garbatego kolegi. Kolega się poświęcał i kupował smoking z felerkiem, żeby ratować honor sklepu. Ale takich honorowych pracowników było mało, a garbatych jeszcze mniej. Tak że faktycznie

przysługiwała klienteli tylko apelacja do wyżej wspomnianego robaczywego wyrostka. A personel też był bez wyjścia, bo producent nie chciał przyjmować; nazad złego towaru, W najlepszym razie cała procedura ciągnęła się od dziesięciu do dwunastu lat.

Teraz już tego nie będzie, wyszedł podobnież nowy okólni o trybie lekramacji, któren leguruje te sprawy. Jeżeli lekramacja jest słuszna i złożona nie później niż w sześć tygodni od daty odebrania towaru, „skopany” artykuł musi być zamieniony na inny, a w braku „nie sknoconego” należy zwrócić pieniądze.

Nareszcie będzie porządek i sprzedawcy, i klienci będą wiedzieli, jak postępować w takim wypadku.

O jedno tylko musiem prosić, żeby tryb nie był za duży i za wolno się nie obracał, bo znowuż będą nieporozumienia familijne w naszej socjalistycznej rodzinie.

## BARANEK I WHISKY AND SODA

Wysłała nasz Gieniuchna ze szwagrem za świętecznymi sprawonkami. Mieliśmy kupić nieduże szyneczki, kielbasę, baranka i tych kotków wierzbowych do przybrania stołu. Wróciliśmy wieczorem z choinką. Gienia, jak zobaczyła ten krzak, o mały figiel pulpetacji serca nie dostała.

— O nieszczęśliwa moja godzina — krzyczy — że ja tych kiziorów po zakupy posłałam! Choinkie na Wielkanoc mnie przynieśli!

A szwagier letko się zatoczył z tem bożem drzewkiem i mówi:

— Jaka Wielkanoc? Gieniuchna, ty musisz być na bańce, wyjrzyj przez okno, to się przekonasz, że jest Boże Narodzenie.

Rzecz jasna, że zrobiliśmy to do pucu, przez samopoczucie wolnego żartu i kącika humoru, bo akurat to było we wtorek, czyli w prymaprylus. Ale faktycznie, żart — żartem, śmiech — śmiechem — pijana to jakaś wiosna!

Z obstalowanych przez Gieniuchne towarów nie dostaliśmy po pierwsze spirytusu. Raz, że to było pierwszego, a po drugie, podobnie w ogóle go w handlu nie będzie. Wycofany się zostaje. W ramach zwalczania ankoizmu. Na razie odejmie się nieszczęśliwym ofiarom nałogu od buzi buteleczki ze spirytusem. Później dolewać się będzie do wódki coraz więcej wo

dy, czyli że zmniejszy się, o ile możliwości, procent  
alkoholu, tak że stopniowo dojdzie do tego, że monopol  
sprzedawać będzie na ćwiartki czystą wodę źródlaną.  
Powodzenie murowane — woda z kranu nie do picia —  
sam fenol — cholera!

Ale na razie jeszcze można się będzie przyzwyczaić  
naoliwić tem, co Bozia daje, czyli że ojczystą wyborową i

zwyczajną.

Słyszałem, że w ramach odzwyczajania od napojów z nadto wysokich wprowadził monopol tak zwany aperytyf, czyli wodę z pomarańczowym sokiem i małą ilością czegoś mocniejszego. Ale te doskonale podobnie napoje otrzymać można wyłącznie na przyjęciach dyplomatycznych i innych uroczystościach rządowych, gdzie na przykład my ze szwagrem rzadko kiedy bywamy.

W braku aperytyfusu polskim koktajlem, czyli tata z mamą, zmuszone byliśmy się posługiwać. Teraz trzeba się będzie przerzucić na coś innego.

Oprócz spirytusu nie dostaliśmy także samo śledzi i ryb. Również na pewno w ramach walki z pijaństwem, bo rzecz wiadoma, najlepiej się pije pod śledzika w oliwie i pod rybkie, która lubi pływać.. Nie było też cebuli, podobnie nasz. handel zagraniczny nawalił, bo, jak wiadomo, cebula należy do artykułów zamorskich. Całe szczęście, że ludowa bratnia republika nasz poratowała i przysłała nam troszkę tego egzotycznego towaru. Ale, rzecz jasna, cebula była za dewizy. W handlu, nawet ludowym, musi być zasada: Kochajmy się jak bracia, a liczymy się jak socjaliści. W ogóle podobnie w tem naszym zagranicznym resorcie handlowym jakoś niedobrze się dzieje. Za mało handluje i za dużo do tego dokładamy. Bo jeżeli niejaka Husiatyńska przez rok czasu zrobiła większe obroty towarowe z samymi Stanami Zjednoczonymi i więcej na tem zarobiła aniżeli cały nasz handel zagraniczny ze wszystkimi państwami od tak zwanego zarania, to z przykrością musiem stwierdzić, że coś tu nie klapuje. I czy po przykładowym ukaraniu za konkurencję nie warto by jej zatrudnić w charakterze eksperta z głosem doradczym? Tylko znowuż — nie. Łapówką lubiła się posługiwać, a który urzędnik dałby łapówkę? Całe, jak to się mówi, zagadnienie byłoby postawione do góry nogami..

Go tu zresztą dużo gadać. Braki towarowe są



wszędzie. Sam czytałem wczorej w gazetach, że Winston Churchill, przebywający obecnie w Nicei, musiał odwołać wielkanocne przyjęcie, na które zaprosił samego prezydenta Francji. Nalatał się chłopina po sklepach i nic nie dostał z powodu strejku gienieralnego. Tak że zmuszony był zatelegrafować do prezydenta

w te słowa: „Chcesz koniecznie, to przyjadź, kochany, ale schabu nie dostałem, szynki nie dostałem, mam tylko baranka i whisky and soda. Twój Wicusz Ch.”

Prezydent Coty, jako nietronkowy, nie pojechał. My jesteśmy w lepszym położeniu, mamy czem gości przyjąć, musiem ich tylko przeprosić za drobne nawalanki handlu zagranicznego i pegeerów.

### **PRZY JAJECZKU**

—I patrz pan, panie Koralikowski, jak się wzięli za te biurokracje. Podobnież pięćdziesiąt procent urzędników do produkcji idzie.

—Bo ja panu powiem, nieraz było tak, że pięciu do sześciu pisarzy na jednego fizycznego fachowca wypadało. No to nie jest w porządku, muszą, uważasz pan, tę sprawę troszkie przemeblować.

—I to nie tylko u nas. Słyszałeś pan chyba o niejakim księciu Moniaków, którego ruletkie w swoim stołecznym mieście Monte Carlo prowadzi i w ten deseń na państwowe wydatki zarabia.

—To tam nie ma Totolotka?

—Nie, bo on tylko przyjezdnych z gotówki drenuje. Ludność miejscowa nie daje się uderzać po kieszeni;

—Przytomniaki.

—A i tak te jego poddane byli niezadowolnione z niego, że bezdzietny kawaler.

Zebrał się któregoś dnia u niego w mieszkaniu i mówią:

„Dosyć bradziazenia sie w kawalerskim stanie. Albo sie ksiażę żenisz i o następcę tronu postarasz, albo redukcja, czyli że do produkcji sie wasze wysokie błagorodie przeniesie — ruletkie kręcić. A do rządu kogo innego zgodzi”.

Zdrefił ten ksiażę Moniaków, widzi, że krewa, że nie da sie już dalej, jak to mówią, z kwiatka na kwiatek skikać. żal mu troszkie było kawalerskiej niepodległości, bo to przyjemnie na gazomierzu do domu nad ranem wrócić i nikomu sie nie tłumaczyć. Ale myśli sobie:

„Trudno, trzeba ratować posadę”. Wypisał sobie z Ameryki artystkie filmowe, niejaka Grajczarkówna, z nią sie ochajtnął. Te poddani krzywili sie troszkie, że nie z ksiażęcej rodziny, ale jem przetłomaczył, że obecnie w rządowych sferach miarodajnych moda z artystkami sie żenić, i dali mu pozwolenstwo. Ale ma się rozumieć pod waronkiem, że następcę tronu z tą artystką w krótkich abcugach wyszykuje. I jeszcze mu przypomnieli:

„Masz, ksiażę, dwa lata czasu, ale o wiele sie pan w tem trakcie potomkiem płci męskiej nie wykażesz, z przykrością zmuszone będziemy podziękować i o kims innem pomyslić”.

Taki dwuletni plan mu wystawili.

Staral sie nawet chłopina, ale okazał sie damskim krawcem — córka na świat przyszła. A tu czas leci, dwulatka sie kończy, martwil sie, ale gruszek w popiele nie zasypial. Nowe armatę kupil i mówi:

„Jak sie syn urodzi, sto strzałów dać z niej każe”.

I, patrz pan, pomogło, urodzil sie chłopak jak na zamówienie.

— Wiadomo, zawsze co nowa armata, to nowa.

— Ale nie kazdemu sie tak udaje. Jedna cesarzowa stracila w ten deseń i posadę, i męża. Potomstwa nie miała i wysiudali. Cesarz musial sie z nią rozejść, chociaż starszy już człowiek, a ona mloda, przy kości i

bardzo przystojna...

—A tej armaty nie mógł mu ten Moniak doradzić?

—Widocznie nie zgadało się o tem między niemi.

— Tak, tak, nawet na najwyższem szczeblu redukcja może człowiekowi zawsze zagrażać.

\_ Czasy takie więcej kryzysowe.

— Czyli że zaczyna sie wszystko układać normalnie, jak przed wojną.

\_ Tylko, że kaźden inaczej sie musi przed redukcją bronić: król czem innem i pan, panie Szparaga, czem innem.

— Ale jemu zawsze łatwiej.

—Kto wie, panie Szparaga szanowny, kto wie? Ja już tam wolę na swoich rękach polegać i nie dać sie.

—Czego panu przy tem dzisiejszem świątecznem jajeczku z duszy serca życzę.

## K O M U T O P O T R Z E B N E ?

Z dużym ogólnym zadowoleniem przeczytałem pare dni temu w tył, że nareszcie zostanie zamknięta na kłódki tak zwana Grota Zimna w Zakopanem.

Jest to podługowata dziura pod górami, bardzo podobnie ciekawa do zwiedzania dla tak zwanych gro-towłazów. Co który wlaź, pare dni go nie było widać i słuch po niem ginął.

Dopiero trzeba było wołać pogotowie, pułk wojska oraz pareset wczasowiczów i te współhemi siłami tego grotowłaza z dziury wyciągali ledwo żywego. Duża to była rozrywka dla całego Zakopanego raz, drugi i trzeci. Ale przejadła sie koniec końców i władze kazali grotę zamknąć. Zostanie sie teraz przy wejściu założona krata, zamknięta na fest „piętrowe”, od której kluczyk będzie sie znajdował w kamizelce u prezesa Rady Narodowej miasta Zakopanego. Podobnie na ten zakaz miała wpłynąć mocno Liga Kobiet. Rozchodzi sie o to, że grota nie tylko zagrażała niebezpieczeństwu publicznemu, ale także samo wywoływała nadużycia matrymonialne.

Jak sie któryś mąż na urlopie zabradziażył gdzieś w górach z kociakami i trzy dni go nie było, w bajer brał małżonkie, że zabłądził w Zimnej Grocie. Teraz ten numer nie będzie przechodził. Przez kratę będzie Mógł sobie najwyżej taki cwaniak na grotę popatrzeć. A kto mimo wszystkiego przyjdzie do prezesa po klu

czyk, ten zaczem wyda, zapyta sie: — A pozwolenstwo od żony na piśmie pan posiadasz? — I obetnie faceta z miejsca.

Po mojemu jeszcze jeden sport także samo powinien być wzbroniony — włożenie na najwyższe góry świata. Dużo to już nasz wypadków kosztowało. Teraz świeżo czytałem, że jeden doktor z Warszawy aż do Indii podobnież pojechał, żeby sie wdrapać na górę Ararat, gdzie w swoim czasie nieboszczyk Neo ze swoją wodną menażerią wylądował.

Owszem, miejscowość ciekawa, może tam jeszcze jakieś pamiątki po berlince tego Neona sie znajdują, ale za wysoko położona. Nikt podobnież jeszcze tam nie był i ten doktor chce być za największego pod tem względem kozaka. Nie uważam, żeby to było konieczne, za mortusowe na to jesteśmy, żebyśmy innem narodowościom ścieżki przecierali. Możem poczekać pare lat, aż **ktoś** kolejkie linowe na tego Ararata założy.

A poza tem nic dziwnego, że w Kasie Chorych na numerek pół dnia sie czeka, jeżeli doktorzy po azjatyckich górach sie drapia, zaczem grypie azjatyckiej zapobiegać.

A jeżeli ktoś koniecznie chce zostać sławnem, niech robi wynalazki. Na przykład był niedawno w Ekspresiu artykuł o tem, że w Moskwie ukażą sie wkrótce w sprzedaży płaszcze przeciwdeszczowe z papieru, po rublu za sztukie, czyli że tyle, ile kosztują trzy przejazdy tramwajem. „Po deszczu płaszcz — jak pisze Express — będzie można złożyć i schować do kieszeni." Albo ukręcić z niego ze setkie machorkowych, czyż wszak nie?

A u nasz co, włożem do groty, gdzie można sie w błocie utopić, albo sie pchamy na górę Ararat, *gdzie* sie Neo po potopie suszył.

Komu to jest potrzebne i na co?

**MISS TARGÓWEK**

Na podwyższeniu stół prezydialny. Na ścianach napisy: „Niech żyje Miss Targówek-śródmieście”, „Przez konkursy piękności do socjalistyczności” itp. Za stołem jury: Piecyk, Musztardziński, Konik, Motylko, Mordzielakówna, Wesołkiewicz. Na stole duży dzwonek ręczny. Na podwyższeniu waga i przyrządy mierznicze. Po prawej widzowie konkursu i rodziny kandydatek.

Motylko (*ucisza gwar*): Proszę o spokój! Gotowe!  
(*do Piecyka*): Panie prezesie, proszę pana

o zaczęcie konkursu. Zagajaj pan.

Piecyk (*potrząsa dzwonkiem*): Zagajone.

Motylko: Jak to zagajone? Mowe trzeba założyć, powitać kandydatki, przedstawić publice żury i temuż podobnie.

Piecyk: Można i tak. Obywatele i obywatelki, żeby Ameryka a także samo Białystok, Rzeszów, Mordy i Garwolin zanadto ważne nie byli, musiem wybrać naszą królową piękności, czyli tak zwaną Miss Targówek-śródmieście. A teraz, o wiele **ktoś** by się nas zapytał, po jaką nam właściwie cholere ta miss, odpowiedzielibyśmy jednogłośnie i własnoręcznie, że kultura i sztuka nas do tego zmusza. Jeżeli Kutno ma swoją miss i Rozprza ma swoją miss, a nawet taki Kałuszyn, to się pytam, dlaczego Targówek-śródmieście ma być gorszy. Od kogo i od kiedy?  
(*widzowie*)

*biją brawo*). Znakiem tego mam zaszczyt przedstawić tak zwane żury, czyli komisje wyborczą. Wiadomą jest rzeczą, że byle łamaga nie może się zostać królową piękności. Są na to przepisy, jaką taka miss musi mieć szerokość, wysokość i głębokość w każdym poszczególnym miejscu. W celu żeby mierzenie odbywało się fachowo, bez lipy i nawalanki, zaprosiliśmy do żury tak zwanego skoczybruzde, czyli geometrę Dzielnicowej Rady Narodowej, obywatela Musztardzińskiego, którego przy pomocy przyrządów mierniczych obliczy te facetki na metry...

Mo tylko (*przerywa*): Przeprowadzi eliminacje kandydatek.

Piecyk: Właśnie. A teraz waga. Ponieważ że rozchodzi się tu o wagę cielesną, ważenie będzie uskuteczniał obywatel Konik z MHM, czyli Miejskiego Handlu Mięsem, sklep 161, rozpołożony w naszej dzielnicy...

Widzowie: Nie, nie! Precz! Tylko nie on! My się na to nie zgadzamy! My się na to nie zgadzamy!...

Piecyk: Zaraz, ciszej, proszę o spokój! Dlaczego?!

Widzowie: Nie doważa! Orzyna na wadze! Nacina! Kantuje! Mnie wczorej nie do ważył siedem deka szpondra na rosół! A mnie naciął na dziesięć deka cynaderek.

Konik (*zrywa się*): Niech ja skonam, niech ja skonam!...

Piecyk (*do Konika*): Siadaj pan. (*w stronę publiczności*): Nic nie szkodzi, będziemy mu patrzeć na ręce, tu nie sklep MHM. Zresztą, na co mu damska cynaderka?... Jedziem dalej. Nad artystyczną całością naszych kandydatek czuwać będzie obywatel Hilary Motylko ze spółdzielni fryzjerskiej „Rococo” na Szmulowiźnie, którego w ramach tak zwanej pomocy sąsiedzkiej wszystkie te misski bezpłatnie uczesał i wymasował. (*Widzowie biją brawo. Motylko się*

*kłania*): Jako członek ze strony Ministra Kultury i Sztuki obecnym jest za tem stołem obywatel Wesołkiewicz Hilary, żalobny literat, żalobny dlatego, że pisze litery na

pomnikach w zakładzie kamieniarskim wisawis pierwszej bramy cmentarza na Bródnie. (*Wesołkiewicz kłania się*) I oraz towarzysza Mordzielakówna, przedstawicielka Ligi Kobiet, panna w stanie nieczynnym. To byłoby wszystko.

Mordzielakówna (*zrywa się*): Wypraszam sobie takie głupie żarty!

Piecyk: Jakie żarty? Ja tylko chce zaznaczyć, że pani jest nieutralna, bezstronna, znaczy się, i na posadę miss nie lefrektuje. Panie Motylko, dawaj pan facetki, tylko kolejno, bo żury będzie rozbierać każdą sztukie osobno.

Motylko: Jak to rozbierać, one są już rozebrane.

Piecyk: Sprawę się będzie rozbierać, nie facetki. Dawaj pan pierwszą kandydatkę.

Motylko: Kandydatka numer jeden. Pseudonim „Wisienka”.

*Wchodzi zgrabna dziewczyna w kostiumie kąpielowym.*

Musztardziński: Imię i znaczy się nazwisko.

Wisienka: Gizella Trzaskówna. Wesołkiewicz (*śmiertelnie poważny, w czerni*): Gizella Trzaskówna.

żyła lat? Musztardziński: Nie żyła, tylko, znaczy się, żyje.

Wesołkiewicz: To wszystko jedno, ja tak przyzwyczajony, żyła lat?

Wisienka: Dwadzieścia jeden. Piecyk: Panie Konik, co pan myślisz? Konik: Owszem, nie można powiedzieć, comberek, połędwieszka, wszystko na swoim **miejscu**. Proszę na wagie. Waga ma być bez kości? (*waży*). Piecyk: Nie, jak leci.

Konik: Sześćdziesiąt sześć kilo i pięćdziesiąt deka.

Musztardziński: W pasie znaczy się pra widłowo (*mierzy*).

Motylko: Troszkie przekracza przepisy, ale za to taki kociak.

Mordzielakówna: Proszę na egzamin z



inteligencji i walorów kulturalnych. Kto to był Miczurin?

Wisienka: Co pani, gazet nie czyta? To nie jest pytanie na dzisiejsze czasy.

Mordzielakówna: Czy włada językiem rosyjskim?

Wisienka: Chwilowo nie!

Mordzielakówna: A chwilowo jakim?

Wisienka: Francuskim.

Mordzielakówna: Tak. To może pani powie, co to znaczy po francusku chat noir?

Wisienka: Proszę bardzo... Sza nuar — milcz, brunecie.

Piecyk: Na medal, patrz pan, jaką ma dziewczyna smykałkie do języków.

Mordzielakówna: Nic podobnego. To znaczy „czarny kot”. Nie zna pani francuskiego. Francuski na dwójkę.

Piecyk: Wszystko nie może być na piątke. Nogi takie. Przyjmujemy. Dawaj pan następny numer.

Motyłko: Następna do golenia, to jest chciałem powiedzieć kandydatka numer dwa.

***Wchodzi śmieszna, ale sympatyczna kandydatka Basia.***

Mttsztardziński: pseudonim?

Przepraszam, znaczy sie,

Basia: Klops.

Musztardziński: Imię i nazwisko. Basia:  
Barbara Klops.

Musztardziński: Znaczy się Klops tam i z  
powrotem.

Wesołkiewicz: Barbara Klops, żyła lat?

Piecyk: Daj pan spokój z tem nekrologiem. Ile pani  
ma lat?

B a s i a : Na ucho panu powiem, bo tam stoi mój

narzeczony (*nachyla się do Piecyka, ten dyktuje datę Wesółkiewiczowi. Komitet nad czymś radzi po cichu*).

Musztardziński (*mierzy ją*): Miara, znaczy się, dobra. Konik: Waga obleci.

Mordzielakówna: A teraz inteligencja. Kto to był Słowacki?

Basia: Właściciel składu aptecznego na rogu Mokrej,

Mordzielakówna: źle, nic podobnego. Piecyk: Jak to źle, sam go znałem, taki nieduży, łysy.

Motyłko: Pan się myli, panie prezesie, to był Słowikowski (*patrzy znacząco na Basię Klops i pokazuje coś na swojej szyi*). Słowacki to był...

Basia: A, już wiem, ten, co kołnierzyk wykładany na lato wynalazł.

Konik: No tak, właśnie, kołnierz Słowackiego.

Piecyk: Doskonale.

Musztardziński: świetnie, znaczy się.

Mordzielakówna: Co to za bzdury. Słowacki był poetą, wiersze pisał.

Basia: Co robił w godzinach pozasłużbowych, to mnie nie obchodzi. Dla mnie mógł zbierać motyle.

Konik: Zresztą obywatelka Klops nie pracuje w księgarni, tylko w sklepie spożywczem. Piecyk: Dawaj pan „trójkie”.

Motyłko: Kandydatka numer trzy, pseudonim... Eulalia (*wbiega*):... Lollobrygida.

Musztardziński: Co pan prezes sądzi? Piecyk: Faktycznie, niewąska w biuście. Motyłko: Imię i nazwisko. Eulalia: Eulalia Fijoł.

Piecyk: Obywatelka pracuje w mlecznym barze?

Eulalia: Skąd, w branży filmowej.

Piecyk: Jako kasjerka w kinie? Eulalia: Nie, bufet dzierzawie. Piecyk: Pisz pan: Eulalia Fijoł, filmowa bufetowa.

Wesółkiewicz: żyła lat? Piecyk: Przestańże pan chować tych ludzi, jak pragnę zdrowia.

Musztardziński: Jaki wiek? Eulalia:

Dwudziesty.

Musztardziński: f Nie pytam się, w jakim stuleciu żyjemy, tylko, ile, znaczy się, pani ma lat. Eulalia:

Toteż mówię — dwadzieścia. Piecyk: Skończone?

Basia: Co, ta stara rapa ma dwadzieścia lat?

Piecyk: Proszę o spokój, i nie wyrażać się.

Basia: No bo, jak to może być, proszę najwyższego sądu konkursowego? Jak ta pani może mieć dwadzieścia lat, kiedy już przed wojną z 36 pułkiem piechoty, jako wdowa po trzech mężach, na flankiery w olejandry pod Piekiełkiem uczeszczała? To ile wtenczas miała? Trzy lata? Kto w to uwierzy?

Eulalia: A miałam, a miałam i nie panin zamazany interes. Policz pani lepiej swoje piegi na plecach, bo ci się renament nie zgodzi. Zazdrość ją bierze o 36 pułk, żebym ja pani nie powiedziała o związku drobnych kupców chrześcijan z Bazaru Różyckiego.

Basia: No, powiedz pani, powiedz, to ja ci powiem...

Piecyk: Cicho, proszę o spokój, bo przerwiem konkurs piękności i jenteligencji.

Musztardziński: Więc jak to jest z tym wiekiem?

Eulalia: Już powiedziałam, liczę sobie dwadzieścia lat.

Piecyk: Ale inni inaczej liczą. Może zrobimy krakowskim targiem? Niech będzie czterdzieści, co?

Eulalia: Niech już będzie. Basia: I tak najmniej dziesięć jest zarobiona. Piecyk: ! Cicho! Mimo tego nie może pani liczyć na wybór, bo innych warunków pani nie dotrzymujesz. Królowa piękności wzrost musi mieć 170 cm. Wagi 54 kilo z niedużem hakiem. Obwód w biuście 97 i pół. W biodrach indentycznie, czyli że jednym paninem biustem dwie miss można by obdzielić i jeszcze by się sporo zostało na użytek domowy.

Eulalia: A ja się nie zgadzam. Wzrostu mam co prawda troszkie za mało, ale za to obwód w pierwszej krzyżowej 170. żywej wagi mam co prawda aż 92 kilo, ale za to nogi krótsze o połowę i jak się to wszystko razem do kupy doda, wychodzi na to samo, czyli że suma sumarum mogię się zostać nawet samą Miss Polonią.

*Wszyscy się śmieją. Muzyka towarzysząca wejściu każdej kandydatki zaczyna grać, po czym wchodzi kolejno dalsze numery i konkurs odbywa się mimicznie. Po przejściu wszystkich i po naradzie jury, wstaje pan Motylko.*

Motylko: ! Na miss Targówek-śródmieście została wybrana kandydatka numer dwa, czyli obywatelka Barbara Klops, pseudonim Klops, za inteligencję.

Wszyscy (krzyczą): Nie zgadzamy się! Granda! (gwiżdżą).

Motylko: Zaraz, spokojnie. Miss Targówek-śródmieście obiecała jako kierowniczkę sklepu spożywczego nr 664, że cały komitet...

Piecyk: Oraz cała zebrana tu ferajna, jak leci, po wieczne czasy, otrzymywać będzie w prowadzonym przez nią sklepie po ćwiartce masła i po dziesięć świeżych gwarantowanych jaj bez kolejki! Zgadzacie się?

Wszyscy: Zgadzamy, zgadzamy!

Piecyk: Jest jenteligientna?

Wszyscy: Jest, jest! Niech żyje!

Piecyk: No to na co ta mowa?

*Wkładają Basi koronę i przepasują ją wstęgą.  
Orkiestra gra tusz.*

## ATOMOWA WIOSNA

Dwa dni temu w tył niejaki Wicherek, któren za wróżkie od przepowiedania pogody w telewizji sie zatrudnia, powiedział nam, że ma smutne nowinę, bo wiosna na razie odwołana — idą do nasz mrozy, po dwanaście, piętnaście a nawet do dwudziestu stopni. Narysował nam ich nawet kredą na mapie i obliczył detalicznie za pomocą tabliczki mnożenia i różnych tam heliotropów atmosferycznych. Jakżem to usłyszał, ucieszyłem sie niemożebnie: — Dobra nasza, ciepło będzie, słońce, pogoda, wiosna, znaczy sie. A co najwyżej będzie lało. Wyciągiem z *otomany* wiosenne sakpalto, żółte kamasze, a wełniane rękawiczki wrzuciłem do kubła, bo już byli mocno przegrane.

Na drugi dzień wychodzę w saku na ulice, a tu hic faktycznie piętnaście stopni w cieniu, mało mnie uszy nie odpadli. Żywo żem sie cagnał do mieszkania, przeprosilem sie z jesionką na wacie i wyciągiem ze śmietnika rękawiczki. Bo zima jest faktycznie na całego i na wiosnę sie na razie nie zanosz.

Właściwie to wiosna jest, tylko taka więcej atomowa. Znaczy sie, że gdzieś tam rzucają na próbę te mniejsze, nieszkodliwe bombki i w ten deseń pogodę nam legurują.

Zresztą to nic nowego, już parę lat temu nazad uczone faceci podali do gazet, że te atomowe bomby nie takie są znowuż wredne, że można ich zatrudnić w przemyśle, PGR-ach, rzemiośle, a już do legurowania pogody nadają sie nadzwyczaj. Z zimy lato będzie można za ich pomocą wytwarzać.



Budziem sie, dajmy na to, pierwszego stycznia w Nowy Rok. A tu w pokoju gorąco jak wielkie nieszczęście. Leciem do okna, patrzem, drzewa zielone, słowiki śpiewają. Motylek motylka gania w tak zwanem celu matrymonialnem. Otwieramy okno — bez pachnie, konwalie i insze bukszpany, ale zaraz zamykamy, bo muchi, cholery, tylko czekają, żeby sie nam do zamieszkalnej obikacji wtranżolić. „Co jest, do wielkiej anielki”, myślę sobie i dopiero z gazet dowiaduję sie, że została rzucona bomba legurująca pogodę. Jednem słowem, czarowali nasz, że z czasem półkie będą mieli z dwunastoma bombami, a na każdej nazwa jednego miesiąca będzie figurowała. Sam najstarszy derektor tego interesu krzyknie tylko: — Padawaj lipiec!

Łapia z półki bombę z siódemką i trzask ją bez okno na ulice i już mamy trzydzieści stopni w cieniu.

Ale na razie widać, że zrobili nasz na bombe — zaczem poprawiać pogodę, psują ją nam ciągle.

A może to te zgubione przez Amerykanów sztuki dają sie nam tak odczuwać. Co i raz sie dowiaduję, że jakaś bomba urwała sie z europlanu i przepadła jak kamfora. Coże oni takie roztrzepane? Czy papierowem sznurkiem te bomby przywiązują, czy jak? Szukają ich potem po kieszeniach, w morzu, w górach i nie było wypadku, żeby znaleźli. A taka cholera leży sobie gdzieś spokojnie i powietrze psuje.

Jak **ktoś** taki roztrzepany, to kapustę powinien wozić, nie atomowo-wodorową nagłą śmierć.

Nie mówiąc już o czem innem, nie chcemy mieć wiosny w sierpniu, tylko już, teraz, zaraz, jak się nam z kalendarza należy, proszę bombiarzy.

## MÓJ LUBILEUSZ TRAMWAJARSKI

Znaczy się w dniu dzisiejszym warszawski tramwaj elektryczny swoje złote wesele z naszą kochaną stolicą obchodzi. W Sali Kongresowej mają się podobnie zebrać najstarsze współpracownicy tramwajowe, czyli tak zwane lubilaci. Uważam, że ja także samo powinienem się *zostać* zaproszonym — jako pasażer lubilat. Bo muszę zaznaczyć, że jeździłem temi tramwajami od samego początku, a nawet jeszcze dawniej,, bo wtenczas, kiedy byli owsem i sieczką pędzone. W dwa smutne ogiery taka arka Noego była zaprzężona i zapychała na owsianej mieszance z Woli na plac Zbawiciela albo na Pragę i nazad.

Od Kierbedziaka, jak tramwaj Nowem Zjazdem pod górę zasuwiał, trzeba było drugą parę koni przypręgać, bo jedna nie mogła wyciągnąć go pod górę — nieraz osobiście z innemi pasażerami pchałem te pudło na Krakowskie, jak konie zastrajkowali. No to jestem honorowem pracownikiem lubilatem czy nie jestem?

A później, jak się pokazała pierwsza elektryczna trójka na Marszałkowskiej, kto pierwszy skoczył jej na cycek, czyli z przeproszeniem bufor, jak nie ja? Takie miała powodzenie, że inaczej nie można się było przejechać. W ten deseń świętuję dzisiaj z warszawskimi tramwajarzami, jako lubilat-wynalazca pierwszego tramwajowego winogrona. Są tacy, co mówią, że wtenczas tramwaje jeździli troszkie prędzej jak dzisiaj. Nie ma w tem nic dziwnego, byli o

pięćdziesiąt lat młodsze. My też nie latamy tak jak pięćdziesiąt lat temu nazad. Do kogo ta mowa!

Motorniczemi zostali się wtenczas z tak zwanego obecnie awansu społecznego, dawniejsze tramwajowe furmani. Na razie troszkę jem się napęd mylił i za czym dodać prądu, krzyczeli nieraz: „Wio, kasztany!” — Albo jak taki chciał przyhamować, to wołał: „Prrrr!” — Ale później się poduczili i wszystko szło jak ta lala.

Doszło nawet do tego, że kobiety koniec końców zostali zatrudnione w charakterze motorniczych, ale tylko chwilowo. Nie przyjęło się to. Bo po pierwsze, nie wiadomo było, jak do takiej funkcjonariuszki mówić. „Motorowa” nie, bo chociaż byli to facetki z gazem, motoru żadna nie posiadała. „Motorówka” też nie, bo nie po Wiśle zasuwała, tylko po szynach. Ale to jeszcze nic, był jeden przepis, którego narażał te tramwaj arki na niemożliwe katusze i wprost uniemożliwiał życie. A mianowicie rozchodzi się o ten napis, którego wisi w każdym tramwaju: „Motorniczemu zabrania się rozmawiać z pasażerami”. Tego żadna nerwowo nie wytrzymała i wszystkie co do jednej podziękowali za posadę.

Za to na konduktorki nadają się jak rzadko.

żart żartem, śmiech śmiechem, ale niektóre konduktorki lepiej sobie czasem radzą z pasażerami jak konduktorzy. Sam widziałem takie zdarzenie.

Wsiadam kiedyś w trzydziestkę, widzę, że na pierwszej ławce kima jakiś wstawiony. Przyjechaliśmy na Zielenieckie, gdzie się obsługa zmienia. Konduktor płci naturalnej zdaje wagon niedużej blondynce z chabrowymi oczami i w kolczykach w charakterze srebrnych serduszek. Pokazuje jej tego ankoholika i

mówi:

— Ten pasażer mocno na gazie, szóste kółko już obraca tą trzydziestką i wysiąść nie chce. Niećl pani nie budzi, bo straszny raban toczy! Pięciu kolegów nie mogło sobie z niem dać rady, a ja szósty. Trudno, niech go pani wiezie siódme kółko.

I wysiadł.

Blondynka spojrzała sie niebieskimi oczami na tego kiziora, podchodzi do niego. Wszyscy pasażerowie zdrętwieli, co to będzie, a ona stanęła nad niem, trąca go w klatkie piersiowe i mówi:

— Wysiadał pan!

Moczymorda roztworzył jedno oko, potem drugie, przyjrzał sie blondynce, zerwał sie z ławki, zdjął grzecznie kapelusz, powiedział „przepraszam” i jak nie ruszy do wyjścia. Wysiadł i jeszcze z daleka dwa razy jej sie uklonił. Widocznie żonę musi mieć blondynkie z chabrowemi oczami i wie, że lepiej sie z taką nie przekomarzać.

A teraz weźmy pod uwage ceny biletów. Osobiście płaciłem już za tramwaj 5 albo 7 kopiejek na pluszowem siedzeniu, potem 20 feników, później nawet 250.000 marek polskich (niech ja skonam, tyle przejazd kosztował), następnie, po wymianie na złotówki, 25 groszy. Ale musze powiedzieć, że takiej taniochy jak dzisiaj jeszcze nie było. Tanio jak barszcz Strójwasa, jak sie dawniej mówiło. I dlatego wnoszę tu okrzyk:

Niech żyją warszawskie tramwaje! I chociaż konduktorka czasem nasz obsztorcuje — nie szkodzi, opłaci sie. Za ile ma sie z nami ceckać, za 50 groszy?

Na co ta mowa!

## JEDEN GŁĘBSZY W SPUTNIKU

No to ta wszechświatowa wystawa w Brukselii jest już podobnież otwarta. Przeczytałem dzisiaj w Ekspresiaku, że sam król otworzył tę wystawę za pomocą zapalenia tak zwanego znicza i osobiście odkręcił kurek największej fontanny. Niewąski to musiał być widoczek, jak gwardia królewska w staroświeckich strojach, na białych ogierach zapychała dookoła budunku, któren przedstawiał sobą atomową resteurację. Składa się on podobnież z sześciu czy siedmiu bomb atomowych nienaturalnej wielkości. Każda jedna taka kula ma zawierać alegancką knajpę pierwszej kategorii i nieduży barek. Wszystko to połączone jest spadzistemi rurami, w których urządzone są windy i ruchome schody.

Po mojemu są tam na pewno także samo tak zwane poślizgi, czyli polerowane deski do spuszczenia na dół turystów. Rzecz jasna jest tu mowa o turystach znajdujących się na bańce. Jeżeli taki oliwa zaczyna rozrabiać, wyrażać się przy dzieciach i w ogóle dokonywać tak zwanego remontu w jakimś atomowym zakładzie gastronomicznem, obsługa bierze go za hale, sadza na poślizg, daje kopniaka w pierwszą krzyżową i ankoholik zjeżdża rurami aż na sam dół, gdzie w ostatniej kuli znajduje się izba wytrzeźwień. Tam otrzymuje amoniaczek do powąchania, salaterkie siadłego mleczka i lulu. Rano wstaje jak nowonaro

dzony dzieciak i w dalszym ciągu zwiedza cuda techniki XXI wieku, z pawilonami USA i ZSRR na czele, gdzie, jak wiadomo, można zobaczyć sputniki w różnych numerach i fasonach oraz inne delikatesy z atomowo-jądrowej branży, z wyłącznie pokojowym zastosowaniem.

Czy ten poślizg tam jest, nie wiem z całą pewnością, ale że powinien być, to jasne, jak się tak patrzy na fotografie tego największego na wystawie budenku, stanowiącego podobnież ostatni krzyk mody budowlanej naszych czasów. I po mojemu wielka szkoda, że Polska nie wzięła udziału w tej wystawie, chociażby w charakterze fachowej obsługi tej właśnie wyżej wymienionej izby wytrzeźwień. Nasze długoletnie doświadczenie w tej specjalności zapewniłoby nam zdobycie złotego medala — Grand Priks. Pierwszych klientów na pokazowe otwarcie izby wytrzeźwień dostarczyłaby nam z pewnością pierwsza lepsza nasza ekipa działaczy sportowych. A potem wycieczki Orbisu. A tak zmuszone będziemy patrzeć beczynn timer, jak najwyższe nagrody rozbierają między siebie inne narodowości i poszczególne fabryki, nie wyłączając takiej firmy Krupp, która podobnież przerzuciła się na produkcję pokojową i wystawia bardzo pomysłowe dziecinne zabawki, po umiejętnym złożeniu dające tak zwane macadory z atomowemi głowicami.

Kogo najsampierw zaczną macać, jeszcze nie wiadomo.

**GIENIA SPRZEDAJE TELEWIZOR**

No, to w taki sposób już za parę dni zaczną się tak zwany „Jedenasty Wyścig Dookoła Pokoju”. Przygotowania idą podobnie na sto dwa. Nasze chłopaki już się zjechali do Warszawy i dzisiaj uskuteczniają pierwszy spacer przez Poniatoszcza, za rogatki, żeby rozkręcić nogi. Lada dzień przyjadą zagraniczni cykliści i z sąsiednich województw socjalistycznych. Pierwsze nadlecą Hindusi, bo o jakieś trzy dni wcześniej muszą zacząć wyścig, żeby czołówka dogoniła ich dopiero koło Koluszek.

Jeżeli się rozchodzi o naszych chłopaków, no to ze starych znajomych mamy tylko Królaka i Więckowskiego. Elkowi Grabowskiemu podobnie Liga Opieki nad Dzieckiem zabroniła udziału. Troszkę te rozporządzenie spóźnione, ale zaczęła bumaga przeszła przez wszystkie biurka, Elek z dziecka zamienił się w starszego faceta, którego własne dzieci już planuje. Ale cofnięcie tego zakazu znowuż musi potrwać parę lat.

Jeżeli teraz się rozchodzi o przygotowania ludności prywatnej, która bierze tak zwany żywy udział w wyścigu, to na przykład Gienia sprzedaje telewizor.

—Dlaczego chcesz to zrobić, najdroższa? — pytam się jej.

—Bo nerwy nie pozwolą mi patrzeć na to, jak chłopcy się męczą. Już w przeszłym roku dosyć zdro

wia straciłam przy radiu i żeby nie wata, nie wiadomo, co by ze mną było.

I faktycznie, Gieniuchna siedziała przy naszym Pionierze z paczką waty w ręku i jak tylko się okazało, że Polacy biorą w kuchnię na jakimś etapie

albo rower któremuś nawala, kraknę mają czy też trzęsą się z zimna, natychmiastowo uszy wata sobie zatykała i zalewała się łzami. Dopiero jak się sytuacja poprawiała, mrugałem na nią, że może sobie słuch odetkać. Z telewizorem trudniejsza sprawa — oczy sobie zawiązywać, uszy zatykać. Za dużo pracy.

— No to przecież możesz go wcale nie włączać — mówię.

— Na to znowuż ciekawość mnie nie pozwoli.

— Gieniuchna, nic się nie bój, o wiele ja znam telewizję, dołożą wszelkich starań, żeby nic nie było widać, co się na trasie dzieje. Nie tylko nie odróżnisz Polaka od Niemca, ale nawet cyklisty od krowy.

Ale nie da sobie w żaden sposób wytłomaczyć, tylko chce sprzedać i sprzedać. Mówi, że programy są takie więcej na Grójec. Od czasu, jak nam każą oglądać po sześć razy te same, szarpnięte zębem czasu ostatnie szlagiery wiejskiego kina objazdowego, spodobała jej się tylko audycja prymaprylusowa, dlatego że wziął w niej udział cały personel z Wicherkiem i derektorem Pańskim na czele. Ale czekać cały rok, żeby znowuż derektora Pańskiego zobaczyć, nie ma cierpliwości.

## **P O L S K A   P R Z Y   T E L E F O N I E**

No to pierwszą, niedużą „kuchenkie” mamy już za sobą. Mowa, rzecz jasna, o wczorajszym etapie Wyścigu Dookoła Pokoju. Jak już zaznaczałem, Gienia się

wyraziła, że tą razą nie będzie ani słuchać o tem wyścigu, ani tem bardziej patrzeć na niego w



telewizorze.

A to była, rzecz jasna, drętwa mowa. Od rana usiadła przy naszej „Wiśle” i ani ją było można ruszyć, aż do czasu, kiedy się zaczęło. Wtenczas dawaj rozrabiać. Kiedy chłopaki już wjechali na trasę i pokazał się w telewizorze mecz piłki nożnej — moja małżonka się pyta. — Kto to gra?

—Polacy z Węgrami.

—Jak to, Polacy sobie w kopane piłkie podgrywają, a tamte narodowości już za rogatkami? Dopiero po zabawie zaczną ich ganiać? Co to za granda!

—Gieniuchna, grandy nie ma. Jedne Polacy walczą o zwycięstwo na pierwszym etapie, a drugie gości na stadionie zabawiają, żeby z nerw nie wychodzili podczas czekania.

—Kogo teraz piłka obchodzi, kiedy każdy uszami w stronę ulicy strzyże i oczów z bramy nie spuszcza, czy czasem nie jada.

I faktycznie. Jak tam było sto tysięcy ludzi, ani jeden meczem się nie interesował, tylko każdy chciał wiedzieć, co się na trasie dzieje. Nawet spikier

telewizji zły jak wielkie nieszczęście, o piłkarskich zawodach mówił, a o wyścigu myślał. Totyż co i raz mu się myliło jedno z drugim i zaznaczał, że Niemcy w czołówce strzelają rowerami do polskiej bramki na Marszałkowskiej, ale Włosi zasunęli jem gola koło Cedetu i w tej chwili jest sześć do zera na korzyść gospodarzy... Potem zaczęło wszystko drygać, iskry się sypali z telewizora, ażeśmy w tył odskoczyli, bo wyglądało na to, że helipokter, czyli napowietrzny mły-

nek, do mieszkania nam się ładuje. Rzecz jasna, że było to apteczne złudzenie ludzkiego oka. W każdym razie ten helipokter, to jest taka więcej przeraźliwa komunikacja.

Na dobitek koleżka naszego spikiera, któren na helipokterze siedział i coś do nas krzyczał, widocznie ze strachu czkawki dostał, bo nic nie można było zrozumieć. Wychodził z tego taki głos, jakby się kaczkę gryźli. Dopiero po godzinie się wyjaśniło, że czołówka jest już daleko, że jadzie główny „telefon”, a przy niem Polacy.

—Dlaczego nasze chłopcy telefon wieżą?! — krzykła na to Gienia. — Dlaczego ich tak męczą? — i zaczęła mocno bluźnić przeciwko derekcji wyścigów.

—Gieniuchna, nie masz dania racji tak mówić — telefon jest potrzebny, bo sama chcesz wiedzieć co się dzieje na trasie; z helipoktera, jak ci wiadomo, chała wychodzi. Więc jako gospodarze, musiem wieźć telefon. Ale tylko do granicy, potem zrobiem jak Kowalszczak, rzuciem go do cholery i zacniem przyjeżdżać w czołówce.

—Daj ci Boże, amen — powiedziała Gienia i poszła w tej sprawie na majowe nabożeństwo.

## **P O S U W A M   N A   K I E R M A S Z**

Jako leguralny, ma się rozumieć, warszawiak, idący w krok w krok z kulturą i sztuką, rokrocznie bierze czynny udział w tak zwanem kiermaszu książki i oświaty w Alei Ujazdowskiej.

No to rzecz jasna, że w niedziele wybieramy się z Gienią na tę uroczystość, żeby obejrzyć stragany i kupić jakąś grubszą książkę, bo te parę sztuk, co mamy, przewracają nam się na półce. Rozchodzi się o to, że Gienia pożyczyła „Trędowate” Skublińskiej, a ta flądra postawiła na niej żelazko i cały środek nieszczęśliwej Stefci na dach się wypalił.

Tylko że moja małżonka nie wie, czy znajdziem coś podchodzącego. Po pierwsze, książka musi być na dwa palce gruba, po drugie oprawiona w prawdziwe terardowskie płótno, a po trzecie nie zawierać wyrazów. Tak publicznych, jak i asenizacyjnych, bo moja małżonka tego nie znosi. A z tem będzie najciężej, bo moda na te słowa panuje tak w drukarstwie, jak i po teatrach, a także samo w kinofikacji. Zaczął to parę lat temu w tył niejaki Wyspiański, którego opisując wesele na wsi, miał się podobnie wyrazić w te słowa:

**Człek człękowi nie dorówna,  
Nie polecą orzeł w.....**

Możem się domyślić w co, bo to było do wiersza Na razie miasto Kraków, z którego był rodem, obraziło się na niego śmiertelnie — wszyscy znajomi drzwi mu pokazali. Narzeczona z niem zerwała, tak że ożenić się musiał na prowincji z córką chłopca indywidualnego — przed Październikiem, znaczy się, kułaka, którego jako niepiśmienny nic o tem wszystkim nie wiedział.

Ale Wyspiański to, można powiedzieć, był lew salonów naprzeciw naszych młodych poeciaków, którzy obecnie książki piszą. W każdym jednym arcydziele

sztuki drukarskiej, jak dzisiejsza moda wymaga, musi się pojawić chociaż jeden raz te właśnie słowo, na literę gie. Również także samo poruszona musi być z nazwiska dolna część ludzkiej autonomii na liter cztery. Inaczej żadna drukarnia nie przyjmie książki, kierownik kina odrzuci film, w którym nie ma przynajmniej dwóch gie i chociaż Jednej de. Dyrektor teatru z miejsca zapytuje się dostawcy, którego sztuki dramatyczne mu przynosi:

— Ileś pan umieścił w pierwszym akcie, tego... na czym siedziem?

- Jedną.

— Mało. Leć pan do domu i dopisz pan jeszcze naj-  
marniej dwie. Także samo w zakończeniu potrzebna  
mnie jest wiazanka, zaczynająca się od słów: „Ach że  
ty, wnuczku ojca staruszka zbankretowanej córki  
Koryntu...”

Ale zdaje się, że publiczność już się te gie troszkę  
przejadło. W każdym bądź razie Gieniucho zamiar  
poszukać na Kiermaszu książek starszych autorów z  
wyższym wychowaniem domowym, jak na przykład:  
Sienkiewicz, Prus, Gebethner i Wolff oraz bracia  
Brandysi.

Ja osobiście poszukuje dzieła naukowego „Jak  
wygrać w Totolotka”.

## PIERWSZE KSIUTY

Bar  
dzo mnie się spodobał w „Ekspresiaku” ten artykuł, żeby już w czwartek planować, gdzie w niedzielę na ksiuty na zielone trawki zamieruje się wyskoczyć. Wiosna, jaka jest, taka jest, troszkie atomowa, ale jakby nie było w kalendarzu figuruje i musiem się do niej stosować. Jednem słowem, trzeba majówki zacząć; Ale od czego? Rzecz jasna, od Bielani, z powodu że w najbliższą niedzielę wypadają Zielone świętki. Zielone świętki, dawniej Dzień Chłopa, wymagają od nasz poszanowania staroświeckiej tradycji, jak się to mówi. Mówiąc między namy, na Bielany w obecnem czasie nie bardzo jest po co jechać. Na ławkach siedzieć? Na tramwaje kapować? Bo dzisiejsze Bielany niepodobne do dawniejszych. Pamiętam, przed wojną rokrocznie z całą rodziną podbawiałem się pod dębami. Kape z łóżka rozkładało się na trawie. Wujo Romaszewski, jako że zdon cechowy, kafle, ruszta, popielnik, glinę ze sobą przywoził i całą leguralną kuchnię w lesie stawiał, na trzy fajerki, z mosiężną ramą. Gienia na tej kuchni taki obiad z czterech dań zawsze wyszykowała, że niech się „Bukiet” schowa. Byli flaki z pulpetamy, rzemska pieczeń, sztukamięs z kwiatkiem i nalesońskie zrazy. Jak sobie rodzina podjadła, było się na **co** popatrzeć. Jednego roku Miecio Kropidłoszczak, mój chrześ

niak, z dwusprężynowem gramofonem przyjechał, płyte za płytą puszczał i tańczyliśmy na całego. Szwagier się zapomniał, usiadł Mieciowi na płycie „Złamane serce” i faktycznie połamał ją w drobny mak. Nieporozumienie się z tego zrobiło i koniec końców zamkli szwagra w prowizorycznym mamrze, które w charakterze płóciennej pałatki policja rokrocznie na Bielanach ustawiała. Ta pałatka cała ruszała się jak żywa, ale nie dlatego, że była na kółkach, tylko że

stale i wciąż czterdziestu do pięćdziesięciu ankołików się w niej znajdowało. Jak gliny wrzucili jeszcze do środka szwagra, dopiero zrobiło się piekło gorące. Mój szwagrowski przeprowadził bont więźniów, które wspólnymi siłami przewrócili do cholery pałatkę, a że stała blisko brzegu, o mały figiel cały majdan do Wisły nie zleciał. Tak, tak, bawili się ludzie na Bielanach, nie to co dzisiaj.

Albo weźmy pod uwagę takie karozele. Dziesięć sztuk ich się kręciło przed Bochenkiem z drewnianymi końmi, tygrysami i inną zwierzyną. Koleżka mój, niejaki Pszczoła, jechał na łabędziu, był troszkie ma się rozumieć pod rezyką i zapomniał, że łabędź, jako białem lakierem przeciągnięty, jest ślizgi, przechylił się, strzemiona wypuścił i po lakierowanym kuprze na zbity łeb z ptaka zleciał. Podniósł się z trawy i pretensje do derektora karozele zaczął wnosić, że go za nogie z łabędzia ściągnął, bo za drugi kurs się należało.

żeby się nie poróżnili, trzymaliśmy koleżki Pszczołę z tyłu za szelki. Ale Pszczoła chłop był nie ułamek, natężył się, gumy wyciągnęli się na parę metrów i siłujem się tam i nazad. Od razu koleżka wyskakuje z szelek jak z procy, prosto głową w garnek z bigosem, co przed sąsiednim towarzystwem stojał. Fiknął Pszczoła po cudzej serwecie parę koziółków, wygniótł na marmoladę wszystkie zakąski, szkło potłukł w drobny mak. Garnek tak mu się na mordę wbił, żeśmy musieli do ślusarza do Łomianek go zaprowadzić, żeby naczynie nożycamy przeciął.

Na dzisiejszych Bielanach już się tego nie sobaczy, ale jechać trzeba, bo kto wie, czy za parę lat w Zielone

świętki osobowem sputnikiem na księżyc nie bgdzie się zasuwało.

## OD KAROLINKI DO KONICZYŃKI

W Totolotka gram nałogowo, jak i wszyscy moi sąsiedzi. W tem celu w naszym domu nawet spółdzielnie założyliśmy. Sto osób członków. I już mieliśmy pierwsze wygrane. Za trzy trafienia padło nam 12 złotych 56 groszy. Przy rozliczeniu połowę spółdzielni zabrało pogotowie. Znaczy sie zostało nas sie tylko pięćdziesiąt osób, czyli że szanse w następnych grach wzrosli nam o całe sto procent. Totolotek i Syrenka — było dla nas za mało i postanowiliśmy obskoczyć wszystkie gry w całej Polsce, Ponieważ że osobiście posiadam w Katowicach ciotkie Kuszpietowskie, gramy za jej pomocą w Karolinkie. A znowuż żona sąsiada Grymaszewskiego pochodzi z Lublina, więc za pośrednictwem jego teścia obstawiamy lubelskiego Koziółka. A znowuż doktor Koziółek z pierwszego piętra, jako krakowiak z dziada pradziada, przez swoich krakowskich kumpli załatwia dla nasz tamtejszego Lejkonika.

Teraz jeżeli sie rozchodzi o Wrocław, to gramy tam w Liczyrzepkie stoma biletami przez grzeczność jednego kolejarza, któren dwa razy na tydzień zapycha służbowo nad Odre i Nyse. Koniczynkie w Gdańsku załatwiamy przez Centrale Rybne. I szafa gra! Największe pednakowoż zmartwienie mamy z temi Ko ziołkami. Jak już zaznaczyłem, w Lublinie jest gra. liczbowa Koziółek, a w Poznaniu są Koziółki, w które

zasuwamy za pomocą szwagra Wicusia Szparagi, bo On TAM pracuje na Targach w charakterze elektryka.

Dochodzi do tego jeszcze doktor Koziółek na pierwszym piętrze. Taki mnie sie melanż z tych Koziółków wytworzył, że często nie wiem, czy doktor Koziółek to gra liczbowa, a poznańskie Koziółki mieszkają u nas na pierwszym piętrze i czy szwagier Wicusia Szparagi to Koziółek lubelski. Czy Liczyrzepka to moja ciotka, a Grymaszewska córka Totolotka. I czy z tego wynika, że kolejarz ma syna

Lejkonika. Ale bigos w głowie to faktycznie jeszcze mięta, najważniejsze, że mamy różne niedociągnięcia w wysyłce. Wytypowaliśmy na przykład sześć numerów i słaliśmy do Karolinki, to, owszem, wyszło nam jak ta lalka, ale w Koniczynie. Rzecz jasna, że wypłacili nam ucho od śledzia, chociaż posłaliśmy do Wrocławia dwóch adwokatów, które udowodnili czarne na białem, że to zwyczajna pomyłka pocztowa. Ale po mimo tego spółdzielnia pracuje dalej pełną parą. Ty ramy po całych nocach nad typowaniem i wypełnianiem kuponów, ale nie dajem rady, musieliśmy przy jać buchaltera, maszynistkę i woźnego. Ale gdzie indziej jest jeszcze gorzej. Na Zaliborzu powstała podobnie spółka akcyjna państwowo-spółdzielczo-prywatna, która obstawia wszystkie gry liczbowe krajowe i zagraniczne. Mają pięćdziesiąt pięć procent kapitału państwowego, trzech dyrektorów, sto dwadzieścia osób personelu, sześć samochodów i siedem milionów deficytu. Ale przedsiębiorstwo leci dalej, potrzebują tylko dwa razy trafić w Totolotka po trzy i pół melona i niedobór pokryty. Karkulacja prosta. Toteż i my się nie zniechęcamy, zasuwamy dalej, od jutra bierzem udział w nowej grze liczbowej, która powstała w Górze Kalwarii i będzie nosiła nazwę: Frajer Pompka.

## **RZECZ GUSTU**

Wśród druhów otaczających wesołym, pierścieniem „ognisko” w pewnej leśnej miejscowości niedaleko Warszawy zjawił się korpulentny pan z wyszczotkowanym starannie staropolskim wąsem, w zabytkowym sztywniaku, odświętnym granatowym garniturze, z grubą bambusową laską w ręku.

Słowem, był to pan Teoś Piecyk, filozof i historyk--amator z Targówka, przebywający „na letniakach” w jednej z okolicznych wiosek. Powitany entuzjastycznie przez harcerzy, pan Teoś zasiadł na honorowym miejscu, posłuchał chwilę śpiewu oraz recytacji młodzieży, po czym odchrząknął, poprawił bambusem płonące główne i



rzekł:

— Faktycznie, nie można powiedzieć, owszem, spodoba mi się to, że nasza młodzież wieczorową porą uprawia pieśń masową i zebrania okolicznościowe, zaczem tracić na to czas w biały dzień, który można przepędzić znacznie pożyteczniej.

Trzeba jednakowoż wykorzystać ten pobyt w lesie, żeby się zastanowić, jak faktycznie jesteśmy szczęśliwi, rzecz jasna tylko przy pogodzie. Bo siedząc tak twarzą do ogniska, chociaż w plecy hic nam troszkie dokucza, narażone jesteśmy najwyżej na katar, kaszel, a w najgorszym razie zapalenie oskrzeli. Ale jak sięgniem okiem w tył, mozem łatwo sobie

uprzytomnić, że nie zawsze młodzież szkolna była w tak wesołym położeniu.

Weźmy na przykład pod uwagę takiego młodego Teleszczaka, to znaczy syna niejakiego Wilhelma Teli, z zawodu gajowego szwajcarskich lasów państwowych. Ten właśnie dany gajowy podczas starożytnej okupacji Szwajcarii przez zachodnich ma się rozumieć Niemców zmuszony był przez giestapo strzelać z luku do jabłuszka umieszczonego na głowie swojego rodowitego syna.

Wilhelm Tell osobiście odczuwał, rzecz jasna, odrobinę tak zwanego mojra, żeby nie skaleczyć swojego chłopaka, ale jakżeż można to porównać z niemożliwą cykorią, jaką musiał mieć Teluś, dzielny harcerz szwajcarski, figurujący pod drzewem z kosztelą czy papierówką na głowie.

O wiele sam nieszczęśliwy ojciec jako ówczesny mistrz świata, w strzelaniu do rzutków — sto punktów na sto możliwych — był mniej więcej pewny swojej ręki, o tyle jego niewinne dziecko, zawsze mogło się obawiać, że tata rąbnął sobie kielicha na rezykię i może chwilowo nie być w formie. W takim wypadku **ojciec** tracił tylko rekord świata, a syn w ogóle mógł zostać „wyliczonem”.

A pomimo tego dzielny harcerz nie tylko nie na-wiał spod drzewka, ale jeszcze wznosił okrzyki w języku szwajcarskiem:

„Wal, ojciec, w jabłko jak w kaczy kuper, ja sie nie boje. Niech szkopów cholera weźmie ze złości!" ! O czym to nasz poucza? Poucza to nasz o tem, że młodzież zawsze odznaczała się patryjotyzmem, ale jednocześnie widziem, że tylko w waronkach pokojowych możemy zapewnić młodemu pokoleniu szczęście, nagłość w nauce, spokój nerw i godziwe rozrywki.

Ale po cóż mamy sięgać tak daleko, za dewizowe granice? Jeżeli roztworzem historie Polski na pierwszej lepszej stronicy, nadziejem się z miejsca na przykłady naszych młodzieżowych wyczynowców wojskowych, W pierwszym rzędzie zmuszony jestem wymienić niejakiego Bolesława Krzywoustego, któren już jako dziewięcioletni chłopiec służył wojskowo i dużo przebywał na froncie. Czyż wobec tego mógł ukończyć nawet szkołę podstawowe? Przypuszczam, że wątpię. Wtenczas to powstało te przysłowie: „nie matura, lecz chęć szczerza zrobi z ciebie oficera”.

Albo wspomnijmy także samo o innem historycznem młodziaku z królewskiej rodziny, o Władysławie Warneńczyku, któren zginął w kwiecie wieku pod popularną bułgarską miejscowością wczasową nad Czarnem Morzem. Do dziś dnia mam żal do Jagiełły, że pozwolił chłopakowi tak sie zmarnować. Po jakiego

czorta puszczał go pod te Warne grzać się z Turkami i dzieciak życie przez to postradał.

I w taki sposób, żeby nie wiem jak nudne nam się to zdawało, o wiele kochamy naszą młodzież i pragniemy dla niej szczęśliwej przyszłości, musiem powtarzać w kółko: Pokój, Mir, Frieden, Lape. Na pe!

Bo lepiej umrzeć z nudów aniżeli w grzybek być zamienionem przez atomową bombę. Zresztą, rzecz gustu.

## K T O K O G O W T R O I ?

—No i co, panie Królik szanowny, jest nareszcie wiosna. Po długich i ciężkich cierpieniach dotaskała się do nas koniec końców. Tylko patrzeć, jak wszystko zakwitnie, a potem pojawią się wiśnie, czereśnie, lubaszki, papierówki...

—Czerwonka, tyfusik nieduży i insze choróbki, panie Kuszpietowski.

—Co to ma wspólnego jedno z drugim?

—Jak to, co ma wspólnego? Ludzie owoc zaczną opychać, razem z gonokokami.

—Co to jest takiego?

—Robastwo, które na owocach lubi przebywać skutkiem zanieczyszczenia.

—Na owocach? W środku to owszem, często robaki się trafiają, zwłaszcza poniekąd, jak lato suche. Ale na wierzchu? Nigdy nie widziałem.

—I nie miałeś pan prawa ich widzieć, bo są niedostrzegalne gołym okiem.

—Takie malutkie?

—Tak jest, pare milionów na kilo ich wchodzi

—I nazywają się gono...

—Tak jest, a także samo: bakterie, śmirusy i w ogóle drobne ustroje. Przesiadują na owocu i z chwilą spożywania takowego ładują się człowiekowi do żelądka.

—No i co?

—No i zabierają się do nasz na całego. Zupełnie jakby mówili do człowieka jedzącego nie myty artykuł spożywczy: „Wtrajaj nasz, wtrajaj, to my cie potem wtrojem”. I rzeczywiście, z chwilą kiedy się znajdą w

ludzkiem ciele, wybierają sobie, co który drobny ustroj jak lubi: jeden wątróbkie, drugi nerczki.

—Zupełnie jak ludzie w barze samoobsługowem. Patrz pan, jakie cwane.

—Wiadomo. Nawet mały gonokok swoją smykałkie na szczot spożycia posiada. Dlatego też musiem się bronić, bo nigdy nie wiadomo, kto kogo wtroi.

—To jaka rada?

—Trzeba starannie myć owoce.

—Ale bez przesady, bo ja, uważasz pan, widziałem faceta, któremu właśnie wskutek tego mycia owoców dziura w głowie się zrobiła.

—To niemożliwe.

—Jak niemożliwe, kiedy na swoje właściwe oczy widziałem. W jednym domu mieszkamy i w każdej chwili możemy to sprawdzić.

—W jaki więc sposób to się stało?

—Ano, tak, uważasz pan, bojał się tych pańskich baterii, że mycie śliwek zwyczajną wodą mu nie wystarczało i zaczął ich kąpać w leczniczym spirytusie, bo tylko spirytus podobnież zabija te robastwo.

—I z tego dziury w głowie dostał? Do kogo ta mowa?

—Nie z tego, tylko że, uważasz pan, jako człowiek oszczędny, ten spirytus następnie wypił. I jeszcze by nic nie było, tylko że na ulice wyszedł i wyrznął głową w latarnie.

—A dużo tego spirytusu było?

—Detalicznie nie wiem, ale z pół literka musiało być.

—No to nic dziwnego, zaszedł tu, uważasz pan, tak zwany proces naukowy. Wytworzyła mu się w żelądku śliwowica na dziewięćdziesiąt procent mocy,

czyli pejsachówka, bardzo nawet zdrowotny tronek, ale pod jakąś posilną zakąseczkę, jak śledzik w oliwie czy galaretka z nóżek. Ale **i** to w minimalnej ilości. Pół litra pejsachówki nie tylko dziurę w głowie może wywołać, ale w ogóle zaprowadzić człowieka do parku sztywnych, żeby na przykład **tego** pańskiego znajomego latarnia wtenczas nie zatrzymała, tylko by wlaź pod samochód, to dzisiaj kwiatki **by na** niem rośli i za parę dni ładnie by nam zakwitł. **Spodoba** mnie się facet, że ma zamiłowanie do higieny, ale nie powinien normy przekraczać. Zwyczajna **bieżąca** woda na owocowe robaczki wystarczy.

## LUDWIKU, DO RONDŁA!

Ze wszystkich dni: Kobiet, Książki, Lasów Państwowych, Polskiego Morza i temuż podobnie, najwięcej uroczyście obchodziłem i obchodzę Dzień Dziecka, I żebym nie wiem jak kryzysowy mortus odczuwał i został sie wydrenowanem przez Gienie, zawsze pare złotych na prezent dla mojego chrześniaka Mięcia Kropidłoszczaka musiałem jakoś wykompinować. Czasem miałem z tego sporo zmartwienia. Jakżem mu kupił zabawkie pod tytułem „Mały rzemieślnik” — W szkole radio na akwarium przerobił. Drugą znowuż razą, jak zabrałem go do Domu Dziecka, byłby cały sklep z dymem puścił, bo ogień przed harcerską lekramową pałatką rozpalił. Panika z tego powstała i straż przyjeżdżała. Pomimo tych przykrości rokrocznie jakimś prezentem musiałem sie wykazać, bo takie już mam wychowanie, że dziecko u mnie gra pierwsze skrzypce, jako przyszłość narodu i temuż podobnie.

Totyż z wielką przykrością zmuszony jestem zaznaczyć, że w tem roku nie mogie Mieciami na Dzień Dziecka zabawki, którą sobie wymarzył, zafondować.

Rozchodzi się detalicznie o samochodzik. Jakiem obliczył swoje fundusze, okazało się, że starczy ich na jedne kicę, czyli mówiąc naukowo dętkę. Bo muszę objaśnić, że w tak zwanem międzyczasie Miecio troszkie podrósł, ożenił się na Wielkanoc i ma życze nie, żeby mu kupić „Warszawę” na taksówkie. Przy



szedł właśnie wczorej do mnie i zaznacza **tak** naobkoło, z ogródkiem o tem Dniu Dziecka i o **tej** taksówce i że „Warszawy” mocno stanieli. Ale dla mnie **sa** **jesz** cze ciut-ciut za drogie.

W taki sposób zamiast prezentu zmuszony byłem udzielić mu błogosławieństwa i dobrej rady na nową drogę życia.

—Doświadczenie chrzestnego ojca ważniejsze jest aniżeli gotówka, zwłaszcza kiedy jej brak tak się daje odczuwać na rynku — mówię Mieciowi, — Dlatego też chce ci zaznaczyć uroczyście: nie daj, dziecko, zrobić z siebie Ludwika.

—Kogo?

—Faceta, którego w fartuszkach z falbankami w kawiarni „Europa”, przy czterdziestu stopniach Celcjusza w cieniu, za pomocą surowego kartofla majonez wytwarza i jajeczka na miętko gotuje.

—Pijany?

—Skąd? Na czczo duszy. Spomknęła się, uważasz, Liga Kobiet z Polskim Radiem i taką „Zgaduj zgadule” pod tytułem „Ludwiku, do rondla” w gastronomicznym lokalu w centrum miasta Warszawy urządzili, który z mężczyzn najwięcej do kuchni się nada.

Na razie byli to śmichy chichy, kącik humoru; smażenie cielecego kotlecika na świeżym maselku pod muzyczkę małej orkiestry Polskiego Radia — Kazimierza Turewicza. Ale miłe złego początki, lecz koniec bolesny, jak powiedział Mickiewicz Adam, kiedy go mrówki obleźli. Wolne żarty się skończą, majonezik zamieni się w codzienny obiad z dwóch dań na margarynie mlecznej.

Każden jeden uczestnik tego konkursu w bezpłatne pomoc domowe może się zostać przez boginię swojej miłości zamienionem. Raz na miesiąc duże pranie, dwa razy w tygodniu przepierka, wychodnie raz na **pół** roku. Jako jedyna rozrywka umysłowa — plotki **w** bramie i w maglu.

W uroczystym Dniu Dziecka mówię ci, Mieciu, nie daj z siebie zrobić Ludwika — broń się! Przypalaj kotlety,

przesalaj zupy, z obiadem guzdraj się do kolacji. Nie masz, dziecko, innego wyjścia.

## 10000 x CIUCHY

Rokrocznie od lat przedwojennych jeżdżę do Poznania w czerwcu na te całe Targi. Z początku jako kawaler do wzięcia, a od dłuższego, niestety, już czasu z Gienia. Ale nie jestem w tym wypadku żadnym wyjątkiem. Już na długo przede mną niejaki Mieszko I udał się tam ze swoją żoną Dąbrówką, rodem z Czeskiej Pragi, w sprawie poślubnych zakupów przedmiotów gospodarstwa domowego. Z tamtych to czasów, pare lat temu nazad, uczone faceci na życzenie magistratu miasta Poznania, przeprowadzając wykopki historyczne na placu Targów, wyciągli z ziemi pare potłuczonych talerzy, pantofel na skórgumie oraz staroświeckie szelki. Z tego widziem, że na starożytnych Targach Poznańskich też musiał być niewąski tłok, że ludność rzucała się jak szalona na antrakcyjne towary deficytowe, skutkiem dłaczego pewna ich część zastała wdeptana w stanie uszkodzonym w ziemi przed pawilonem ówczesnego Galluxu oraz Polimexu. Ten zwyczaj narodowy utrzymał się do ostatnich lat i goście wracali do domu w stanie zupełnego wycieńczenia fizycznego i w zdezelowanej konfekcji. Jeżeli się rozchodzi o przeżycia osobiste moje i najbliższej rodziny, to muszę powiedzieć, że podczas szturm na Gallux w roku 1955 straciłem prawy rękaw, a moja małżonka została wrzucona do sadzawki. Szwagier przy zdobywaniu zegarka marki „Pabieda” stracił

swój własny pamiątkowy czasomierz firmy Adolf Modro (Marszałkowska 120, dom Towarzystwa Ubezpieczeń „Rossja”).

Ponieważ, że więc nasza ludność cywilna była narażona na poważne straty materialne i cierpienia fizyczne, już w zeszłym roku została wstrzymana detaliczna sprzedaż artykułów codziennego użytku, tak metalowych, jak i trekstylnych. Owszem, można było wszystko kupić, ale wyłącznie na wagony. W detalu była tylko noga po poznańsku na gorąco, flaki z pulpetamy, bigos, oreżada i w związku z Październikiem „Extra Cola” wyrobu prywatnej wytwórni wód gazowych w mieście Łodzi. Wskutek czego porządek na Targach był znacznie większy, mnie na przykładłego kramu zdarzył się tylko wypadek, że potracony przez wycieczkie z Nowej Huty upuściłem w piasek dekturowy talerzyk z gorącenai parówkami, które żem zdobył dla Gieni. Narzekała troszkie, ze trzeszczą, ale się nie połapała. Zresztą to nawet zdrowo, drób łyka podobnież celowo piasek i kamienie, żeby sobie ułatwić tak zwaną przelotowość.

W tem roku pójdziem jeszcze dalej. Dało się czytać w prasie: — XXVII Międzynarodowe Targi Poznańskie są jedyną na świecie imprezą, na której zawierane są tylko transakcje międzynarodowe z udziałem 39 państw ze Związkiem Radzieckim na czele. — Biorą więc udział wszystkie prawie państwa podług anal-fabetu: Austria, Belgia, Chiny, Dania, Francja, Izrael, USA, i tak dalej.

Jednem słowem, nasze gospodarskie ciuchy dziesięć tysięcy razy powiększone. Trzydzieści osiem narodowości będzie się dobijać do pawilonów, a trzydziesta dziewiąta, to znaczy się nasza Polska Ludowa, będzie stała z boku, pobierając placowe i rejwoch od zakupu. Po mojemu przytomnie to jest wykompinowane, należy się nam taki zwrot kosztów, bo wydatków

mieliśmy dosyć, chociażby z takim na przykład zasypaniem sadzawki przed pawilonem zegarków. Gienia rozwiesiła galanterie na krzakach, troszkie podeszła i był spokój, a niechby tak Amerykan zepchnął do wody Anglika albo Chińczyk Francuza, nie mówiąc już o jeszcze gorszych możliwościach? Ładne by z tego mogło wyjść towarzyskie nieporozumienie na; szczelbu międzynarodowym.

Miejmy jednakowoż nadzieję, że do żadnych tego rodzaju sprzeczek nie dojdzie i jak się goście nawzajem obkupią, nabędą także samo od nasz sporo chodliwych artykułów, których podobnież mamy do nagłej krwi, chociaż ich w naszych sklepach nie widać. Zresztą, nie kaźden może sobie pozwolić na lokomotywę od Cegielskiego czy nawet niedużą cukrownie.

Tak czy siak, pojechać której niedzieli trzeba, bo kupić nie kupić, zobaczyć warto.